

licytowanie
złomu 4



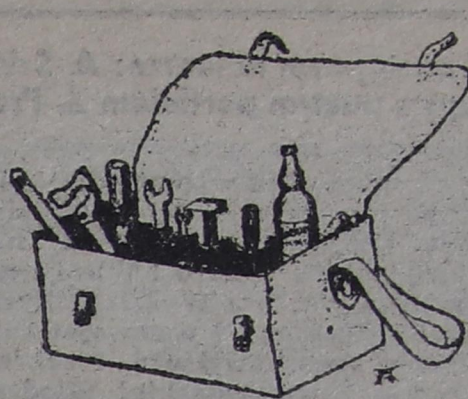
niepotrze-
bni 4



fatalny
skok 7



nie będę
Bunuelem? 12



komu
do śmiechu 16

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

7

(83)

KONTAKTY
16 V 1982
Cena 12 zł

BLIŻEJ REFORMY

gospodar- stwa pod kreską

Przez kilkanaście ostatnich miesięcy, a najbardziej w kilkunastu ostatnich tygodniach, cała nasza społeczność męczy się z myślami, czemu takie wiano otrzymała od ubiegłej dekady i jakimi drogami mogły się potoczyć minione wydarzenia. Każdy myśli najsporniej w obrębie tych problemów, które zna i w których obszarze się obraca.

To rozmyślanie może rozdzielić się w zamierzeniach i skutkach; w zależności od intencji i postaw — dać wykwit totalnej negacji albo też próbę osądu, godną spożytkowania. Bo czas działania tworzenia warunków i prób wyjścia z zakłętą kręgą niemocy zaczął się na dobre i trwa.

Jeśli nawet rozmyślający — po rozczłonkowaniu swoich zasług i niepowodzeń — dojdzie do wniosku, że więcej od niego zechcą czasy nadchodzące niż w minionych zmarnowano jego siłę czy chęć, to już dużo, bo zrodzi się nowa oferta z przekonaniem: czym mogę służyć sprawie, w czym mogę być pomocny.

Mnie najbliższe są i były problemy rolnictwa i w tej kwestii chcę zgłosić pewne refleksje. Byłbym szczęśliwy, gdyby zrodziła się z nich jakaś konkretna korzyść, może inicjatywa, którą można będzie przenieść do gospodarstw, do służb rolnych, do fachowców w jednostkach obsługi wsi, do pańienek z okienek, do świadomości rolników. Widzę jej zarys. Może to być myśl, aby pewne zjawiska, duże liczebnie, a pasujące dotychczas do zwrotu „pod kreską”, od kreski uwolnić, jeśli zjawisko to wynikało z determinacji.

Pod kreską zapisuje w brydżu ten, co partię rozgrywał i wygrał kontrakt. Jakże atuty mieliśmy w kolejnych rozdaniach tej gry, kto kontrował, kto czym impasował. Jakże przyjęliśmy zasady gry?

Część kart dała nam sama natura: te były w każdym rozdaniu prawie niezmiennie. Jest tu cała przestrzeń produkcyjna, ze wszystkimi jej walorami. Część kart podrzuciła przeszłość: ogromne zapóźnienia w rozwoju cywilizacyjnym wsi oraz jej infrastruktury, których, mimo ogromnego wysiłku do lat 70, nie sposób było nadgonić. Część dała tradycja: bezgraniczne

CIĄG DALSZY NA STR. 5

„Wbrew naturze czyli w szponach bluźnierczej namiętności” — I część pamiętnika zdemoralizowanej nastolatki (str. 6). Fot. Gabor Lorinczy.

ballada o Wnuku Wincentym

MONIKA WYSOGLĄD

STR. 3-5

W następnym numerze: ▲ Szklany dom sprawiedliwości ▲ Łomżyńska ▲ Nim oskubią ci głowę ▲ Zakupy z pustym portfelem ▲ Przytul mnie królowo ▲ Nic pewnego na tym świecie.

W podsumowaniu wypowiedzi, które dotychczas materializowały Wydział Handlu UW, przygotowanych na Egzekutywę KW w dniu 4 V br., oraz informacji dyrektora Wydziału, Zygmunta Mazurkiewicza, i wicewojewody Zdzisława Truskowskiego, i sekretarza instancji wojewódzkiej, Włodzimierza Michałuka, stwierdził: — Skoro reglamentacja nie spowodowała poprawy zaopatrzenia rynku (inna rzecz, że ona w Łomżyńskim idealnie nie funkcjonuje), trzeba tak działać w granicach naszych możliwości, aby te wszystkie niedobory były jak najmniej uciążliwe. Przede wszystkim handel nie może być wyprzedzany przez środki masowego przekazu i dowiadywać się na końcu o zmianach zasad reglamentacji w kolejnych miesiącach, bo wówczas dochodzi do niepotrzebnych scysji pomiędzy sprzedawcami a klientami, jak choćby w nieodległym przykładzie z pełnotłustym mlekiem. Wydział handlu musi zrzucić z siebie urzędniczą rutynę i sprawniej egzekwować wykonywanie obowiązków przez swoje pionki i sektory; muszą się też zastanowić nad racjonalnym wykorzystaniem powierzchni handlowej i ludzi oraz nad organizowaniem konsumentom gield, które umożliwiłyby im odkupowanie butów i odzieży nie znoszonych do końca. Z wicewojewodą Truskowskim postaramy się o lepsze zaopatrzenie łomżyńskich rzemieślników, natomiast dyrektora Mazurkiewicza namawiam do przyjęcia takiej postawy: mniej optymizmu, więcej działań konkretnych.

POD PRZEWODNICTWEM Waldemara Szpalińskiego, z udziałem Jerzego Zientary, wojewody łomżyńskiego, nad stanem zaopatrzenia rolnictwa obradował Wojewódzki Zespół Poselski. Stwierdzono: dysproporcje w przydziale sprzętu: jedna sнопowiązka przypada na ponad trzy ciągniki, jedna sadzarka — na prawie sześć ciągników, jeden siewnik — na dziesięć ciągników, niski wskaźnik nawożenia — o 48 kilogramów na hektar mniejszy niż w latach ubiegłych; niedobór pasz — załedwie 48 proc. potrzeb; zaniechania w inwestycjach melioracyjnych.

W obliczu tej sytuacji Wojewódzki Zespół Poselski wspólnie z administracją wojewódzką podjął stanowczą interwencję w Resorcie Rolnictwa.

Posłowie dyskutowali również nad sytuacją wiejskiego szkolnictwa: 507 osób pracuje w zawodzie nauczycielskim bez kwalifikacji — na ogólną liczbę 596. Szczególnie uciążliwe warunki mają oni w gminach: Rutki, Nur, Wąsosz, Kobylin Borzymy, Perlejewo, Zaręby Kościelne, Radziłów, Grabowo.

Posłowie postanowili wesprzeć łomżyńskie władze oświatowe w ich staraniach o zagospodarowanie na cele szkolne i przedszkolne nie w pełni wykorzystane lokale w Wysokim Mazowieckiem, Zambrowie, Łomży, Grajewie i Kolnie.

NAUCZYCIELE I NIEPEDAGOGICZNY personel Społecznych Ognisk Muzycznych objęty został Kartą Nauczyciela. Łomżyńskie Towarzystwo Muzyczne prowadzi sześć ognisk muzycznych, w których umuzykalniającą naukę pobiera ponad dwustu uczniów. Dotychczas placówki te były samowystarczalne (zawsze

realizowały zasadę trzech „S”), lecz przywileje Karty Nauczyciela i ogólny wzrost cen usług, nut i instrumentów muzycznych spowoduje już wkrótce kłopoty finansowe ognisk. Doraźnie sytuację ratuje jednorazowa dotacja Ministerstwa Kultury i Sztuki, ale co będzie w nowym roku szkolnym, jeśli nawet 700 złotych opłaty czesnego nie pokryje kosztów? (Dotąd opłata w naszym województwie wynosiła średnio 350 zł).

W PONIEDZIAŁEK I WE WTOREK odbyły się w większych zakładach pracy województwa łomżyńskiego spotkania zaległe z lektorami Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, pracowników politycznych Komitetu Wojewódzkiego, kadry dydaktycznej Wyższej Szkoły Nauk Społecznych. Eksperti informowali łomżyńskich robotników o podłożu zajęć ulicznych 1 i 3 maja w Warszawie, Gdańsku, Szczecinie i innych miastach.

KONKURS POETYCKI organizuje Klub Młodego Literata działający przy Miejskim Domu Kultury — Domu Srodowisk Twórczych w Łomży. Udział w nim mogą wziąć wszyscy zainteresowani twórczością poetycką, nieczczeni w Związku Literatów Polskich. Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie co najmniej dwóch nigdzie dotąd nie publikowanych utworów poetyckich w czterech egzemplarzach — każdy podpisany godłem. Organizatorzy nie narzucają tematyki. Do tekstów należy ponadto dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą: imię i nazwisko, wiek, wykształcenie.

Prace należy nadsyłać do 15 czerwca br. na adres: Miejski Dom Kultury — Dom Srodowisk Twórczych, 18-400 Łomża, ul. Wojska Polskiego 1, z dopiskiem „KONKURS”.

Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród odbędzie się 26 czerwca 1982 roku. Ponadto — wyniki będą ogłoszone w prasie lokalnej. Przewiduje się następujące nagrody: I — 3000, II — 2000 i III — 1000 złotych oraz 10 nagród książkowych.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród, z tym że ich ogólna suma nie może ulec zmianie. Organizatorzy zastrzegają sobie natomiast prawo druku utworów w prasie lokalnej oraz prawo ich publikacji w specjalnym arkuszu poetyckim. Nadesłane utwory nie podlegają zwrotowi. Szczegółowe informacje telefoniczne oraz pisemne — w sekretariacie konkursu w MDK — DST w Łomży, tel. 32-26 w godz. 10.00-17.00.

KONTO OTWARTYCH SERC. Działający społecznie komitet tego funduszu rozpatrzył min. wnioski o częściowe lub pełne sfinansowanie wkładów mieszkaniowych żyjącym w najtrudniejszych warunkach niepełnosprawnym mieszkańcom miasta. Przypominamy — latem ubiegłego roku łomżyńskie organizacje młodzieżowe: ZSMP, ZHP, ZMW oraz ZW Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej i redakcja „Kontaktów” — otwierając społeczne „Konto Otwartych Serc” — zainicjowały akcję pomocy ludziom dotkniętym przez los. Z ich niedola fizyczną często bowiem idzie w parze ciężka sytuacja materialna. Wielu z nich żyje z najniższych rent, która musi starczyć na chleb, ubranie i leczenie. Ich mieszkaniem nierzadko jest altanka, suterena, poddasze — obskurna nora bez najprymitywniejszych urządzeń ułatwiających życie; na wkład spółdzielczy nie mają po prostu pieniędzy. Tym ludziom można

jednak wspólnie pomóc! Jeżeli na „Kontcie” znajdzie się odpowiednia suma, Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa jeszcze w tym roku przydzieli 12 inwalidom żyjącym w skandalicznych warunkach, specjalnie dla nich dostosowane mieszkania. Obecnie konto dysponuje kwotą 266.609 złotych, która wpłynęła od 68 ofiarodawców. Ponawiamy na z apel: Twoja drobna składka może wspomóc najbardziej potrzebujących. Wpłaty prosimy dokonywać na konto: PKO Łomża — 45519-1065-132 z dopiskiem „Konto Otwartych Serc”.

LATO 82. Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej zorganizuje w tym roku cztery obozy wypoczynkowe dla młodzieży szkolnej, pracującej i dla aktywów oraz raji szlakiem Mikołaja Kopernika. Z obu form rekreacji skorzysta ok. 400 osób. Oprócz tego planuje wysłanie 6 grup (ok. 180 osób) na wypocznik do NRD, Bułgarii, Rumunii i na Węgry. Za najpilniejsze wakacyjne zadanie Związek przyjął zorganizowanie w każdej wsi dziecięcych w okresie żniwnym.

Związek Młodzieży Wiejskiej zapewni wypocznik 100 członkom Związku, uczniom szkół ponadpodstawowych na dwutygodniowym obozie w Nieckowie. Zorganizuje też dwie wycieczki turystyczno-krajoznawcze.

ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO przygotowuje wypocznik dla 3080 osób, m.in. w Nowym Mlynie, Woźnejwsi, Kozie, Goniądzu oraz w Bieszczadach.

wieści gminne

KULESZE KOŚCIELNE. Rolnicy z Wykna Starego przystąpili do budowy trzykilometrowego odcinka nawierzchni żwirowej, łączącej tę miejscowość z siedzibą gminy. ● Dobiega końca remont „Klubu Rolnika”, przeprowadzany za pieniądze uzyskane z zabaw młodzieżowych. ● Przedłuża się budowa remizy: w roku ubiegłym wykonawca prywatny czekał na materiał, a teraz — materiał poczeka na wykonawcę, aż ten ukończy rozpoczętą w trakcie innej budowy. ● Mieszkańcy gminy walczą o własna rozlewnię paliwa w Zakładzie Usług Mechanizacyjnych w Grodziskach Nowych, aby nie jeździć po nie 10—12 kilometrów do Wysokiego Mazowieckiego czy Mężenina. Obsługując Kulesze Kościelne Spółdzielnia Kółek Rolniczych w Kołakach sprzeciwia się ich próbie twierdząc, iż nie może być rozlewni paliwa na błotnistym terenie.

ZARĘBY KOŚCIELNE. Sesja Gminnej Rady Narodowej zatwierdziła Jerzego Godlewskiego, kierownika służby rolnej, na stanowisko naczelnika gminy, zaaprobowala plan społeczno-gospodarczy na rok bieżący, zakładając m.in.: zakończenie „historycznej” budowy ośrodka zdrowia i bloku mieszkalnego dla pracowników gminnej administracji oraz rozbudowę budynku banku spółdzielczego. Radni podjęli uchwałę, na mocy której trzy zarębowskie ulice otrzymają następujące nazwy: Ogrodowa, Mokra i Leśna. ● Kilka naciągów tutejszych rodzin żyje w warunkach skrajnej nędzy. Zajmowalnym przez nie budynkom w każdej chwili grozi zawalenie się. Nowy naczelnik gminy nie widzi żadnych możliwości pospieszenia z pomocą

CIĄG DALSZY NA STR. 15

punkt widzenia

młodzi po ślubie

Jakimi sprawami żyją młodzi, gdy przebrzmia już takty weselnego marsza; jak widzą rzeczywistość, w którą wejść muszą jako ludzie samodzielni, odpowiedzialni za wychowanie następnego pokolenia? Poniżej — wypowiedzi młodych pracowników Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego, których głosy traktujemy jako zapowiedź otwartej dyskusji na temat problemów młodego pokolenia.

TADEUSZ ŚLESIŃSKI, mechanik maszyn włókienniczych: — Miejsko się pobrać nieco później, ale kierowniczką przyzakładowego hotelu, w którym mieszkała moja przyszła żona zawiadomiła nas, że akurat wyprowadza się jedno z małżeństw, więc przyspieszyliśmy ślub — żeby można było gdzieś się zatrzymać. Obecnie mieszkamy na stacji, w pokoju z kuchnią, za którą płacimy 1,5 tys. zł. Żyjemy z jednej pensji — żona jest na urlopie opiekuńczym, trzeba się więc zastanowić: co kupić, z czego zrezygnować. Ale nie jest jeszcze najgorzej, bo podczas zimowych miesięcy żona z córką były u rodziców na wsi, to trochę zaoszczędziłyśmy. Zresztą oni dość często pomagają nas, głównie żywnością.

Jestem członkiem spółdzielni mieszkaniowej od 1977 roku. Żyjemy nadzieją, że może w tym roku będziemy już u siebie — na liście komputerowej jestem na 80 miejscu. Kiedy już otrzymamy to własne M nie wiem, czy będziemy w stanie je umebłować, bo jeśli nawet weźmiemy 150 tys. zł pożyczki, to trzeba będzie ją spłacać przez kilka lat i może być tak, że na ciuch dla dziecka nie starczy. Mimo to chciałbym mieć więcej dzieci — ze troje.

TADEUSZ WENDECKI, kierownik Oddziału Przewijalni: — Mówiąc szczerze, do dziś byłbym kawalerem, albo dopiero załatwiał formalności, ale — jeszcze będąc w wojsku — doszedłem do wniosku, że mam większe szanse na mieszkanie jako żona. I dziś dziękuję własnej przeczności, no i uczuciu. Zaczęliśmy się rozglądać za jakimś pokojem, co trwało dość długo, gdyż proponowano nam np. lokal do wynajęcia, ale nieumeblowany. Zaraz po ślubie, w listopadzie ubiegłego roku, wystąpiliśmy o pożyczkę, ale trafiliśmy akurat na grudniowe wstrzymanie kredytów w PKO. I dobrze, bo nie mamy jeszcze gdzie gromadzić zakupów — mieszkanie dopiero nam obiecują. Zaczniemy ją załatwiać ponownie po otrzymaniu, czarno na białym, decyzji o przyznaniu wymarzonego M-3. Jest to dla młodych ogromne udogodnienie, bo mogą od razu kupić telewizor, pralkę, lodówkę, a tak zbierałbym na to wszystkie co najmniej z pięć lat. Na razie pieniędzy nam wystarczy, choć sporo wydajemy na niezbędne domowe drobiazgi. Kiedy jednak urodzi się dziecko i będziemy musieli żyć tylko z jednych poborów może być różnie.

Teraz młode małżeństwo planuje swoje życie pewnymi etapami: pierwszy — do otrzymania mieszkania, następny — do odchowania dziecka, a dalej to chyba wszystko leci rozpięciem. Przez jakiś czas nie mamy zamiaru myśleć o dziecku — chcemy razem spędzić urlop, pojeździć po kraju.

JADWIGA JABŁKOWSKA, tkaczka: — Pobraliśmy się osiem lat temu. Po roku urodził się syn, więc w domu było sześć osób: nas troje, teściowie i jeszcze siostra męża. Wkrótce i ona wyszła za mąż, nam urodził się drugi syn i zrobiła się zupełnie ciasnota — dziewięć osób na 45 metrach. Gdzie myśmy się nie odwoływali! I do Warszawy, do partii teść pisał, i do województwa. Z partii przyszło pismo, żeby przyspieszyć nam przydział, ale gdzie tam — dopiero po pięciu latach dostaliśmy mieszkanie. Teraz to się już wszystko udało — nasze życie obraca się wokół tego samego koła: praca, dom, kolejki. Niełatwo jest, bo pracujemy z mężem na różne zmiany, więc też i na zmianę zajmujemy się dziećmi.

wypisy z historii

■ 14 maja 1943 roku utworzono w ZSRR I Dywizję im. Tadeusza Kościuszki. ■ 11—14 maja 1955 roku odbyła się konferencja ośmiu europejskich państw socjalistycznych, na której podpisano Układ o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy. ■ 15 maja 1942 roku w lasy piotrkowsko-tomaszowskie wyruszył pierwszy zorganizowany oddział Gwardii Ludowej pod dowództwem Franciszka Zubrzyckiego (ps. Mały Franek). ■ 16 maja 1794 roku mieszkańcy Łomży przyłączyli się do Powstania Kościuszkowskiego.

personalia

Wakujące od II Zjazdu WK SD stanowisko sekretarza wojewódzkiej instancji objął Jan Mazewski.

zdanie tygodnia

Zwierzchnik powinien bardziej myśleć niż podwładny.
(Zygmunt Krzyżanowski, przew. Komitetu Blokowego, na osiedlu „Jantar” w Łomży)

myśl z atestem

Emigracja wewnętrzna szkodzi przede wszystkim tym, którzy ją wybierają. Życie potoczy się dalej.

(W. Jaruzelski)

W Polsce jest raz lepiej, raz gorzej, ale Polska jest jedna i federalować dla niej trzeba. Tyle naszego, co sami działamy.
(Z listu „Gaznika” do W. Jaruzelskiego)

Jestem starym Łomżyńsiakiem, bo tu się urodziłem, tu mieszkam i chyba dlatego bardziej niż innych bolą mnie różne „rany” tego miasta. Od dłuższego czasu szczególnie niepokoi mnie pusty plac przy skrzyżowaniu ulicy Nowogrodzkiej ze Stacha Konwy. Pamiętam, jak jeszcze chyba ze trzy lata temu to miejsce i miasto upiększał sad owocowy z kilkunastoletnimi drzewami. Wyjątkowo ładnie wyglądał, kiedy kwitł i później, gdy drzewa były zasypane owocami. Pamiętam też, jak później wycinano drzewa z niedojrzałymi jeszcze jabłkami. Nie pozwolono im dojrzeć, bo czas naglił. Spieszono się bardzo, by utworzyć na miejscu dawnego sadu... zaśmiecony wolny plac z krzyżującymi się dowolnie ścieżkami.

Skoro od razu nie zrealizowano wcześniejszych planów i na szczęście nie utworzono tu targowiska, to chyba teraz można by w tym miejscu wybudować piękny i okazały blok bądź oddać je ludziom na działki warzywne.

TADEUSZ KALISZ
Łomża

Po przeczytaniu w pierwszym numerze „Kontaktów” artykułu Stanisława Zagórskiego „Do czytelników” pragnę odpowiedzieć na postawione przez autora pytanie: „do kogo powinien być adresowany tygodnik partyjny”. Uważam, że tygodnik partyjny powinien być adresowany do wszystkich. Pismo powinno reprezentować Partię, przez którą rozumieć szeroko masy członkowskie, masy robotników, a nie ludzi aparatu władzy. „Kontakty” powinny więc prezentować materiały z zebrań POP i przedstawiać stanowiska szeregowych członków partii, którzy ją tworzą. Ponadto swoje szpalty pismo winno udostępniać tym wszystkim, którzy działają w interesie narodu. A informacje muszą być nie tylko wiarygodne, ale prawdziwe, bez niedomówień, przeinaczeń lub przemilczeń. Nie chciałbym polemizować z wypowiedzią Zygmunta Grygo, zamieszczoną w pierwszym numerze, który najpierw oburza się, że „gazeta mianująca się pismem PZPR, jest tak mało prawdziwa”, a potem proponuje, aby zamieszczane informacje były „w miarę prawdziwe i sprawdzalne”. Uważam, że między innymi takie właśnie informacje przyczyniły się do tego stanu Polski.

Strona tytułowa tygodnika nie powinna być zwierciadłem stanu ducha zespołu redakcyjnego (przepraszam za obscenowość, ale ja właśnie tak odebrałem pierwszy numer „Kontaktów”). Na stronie tytułowej trzeba przedstawiać dorobek kultury łomżyńskiej i różne charakterystyczne cechy tego regionu, zilustrowane przy pomocy wszystkich możliwych form i środków stosowanych w poligrafii.

Mam również zastrzeżenia do gospodarowania papierem w Waszej redakcji, bo te czyste, obramowane marginesy w każdym numerze pochłaniają chyba więcej niż strone.

W gorącym okresie, w październiku 1981 roku, „Kontakty” nie wypełniły obowiązku wobec partii, ponieważ nie opublikowały rezolucji z dnia 16.10.1981 r. miejskiej organizacji partyjnej, która zawierała liczne postulaty pochodzące z zebrań POP.

Uważam, że „Kontakty” powinny być tygodnikiem Ziemi Łomżyńskiej, bieżącym zapisem przeobrażeń, historii i ludzi, którzy ją tworzą. A pierwszy numer Waszego, przepraszam — naszego, tygodnika jest wart miana „pisma PZPR”.

Czytelnik z Łomży
(nazwisko do wiadomości redakcji)
Łomża

DR ADAM ZAJĄC, stomatolog z Łomży: — Przede wszystkim chciałbym, żeby „Kontakty” były drukowane na lepszym papierze, gdyż obecnie wiele graficznych smaczków, miast cieszyć oko, straszy. Stosunkowo świeży przykład: jajko wielkanocne, które w pierwszym momencie wziąłem za bombę zegarową. A już szczytem marzeń byłoby pismo kolorowe, czego życzę gorąco i nam, czytelnikom, i redakcji.

Gdybym natomiast miał w kilku słowach ustosunkować się do tytułu „Pismo PZPR”, powiedziałbym tylko, że wszędzie, niezależnie od przynależności organizacyjnej, potrzebna jest prawda i tej przede wszystkim ludzie oczekują od swego tygodnika. Oklepanych frazesów, haśle, i tak nikt nie czyta, a co dopiero mówić o ich sile przebicia.

Co mi się w piśmie podobało najbardziej: spora dawka krytyki, życiowych uwag na temat bolączek naszego społecznego życia. Wierzę, że będzie tak nadal, z tym, że zwiększyłbym znacznie wymagania stawiane dziennikarzom: owszem, krytyka, ale i własne propozycje rozwiązania problemu. Z dziedzin, które polecam Waszej szczególnej uwadze, w pierwszej kolejności wymienię handel. Otóż mieszkając tu od wielu lat dochodzę do wniosku, że łomżyńscy, poczynając od gburliwych ekspedientek, a kończąc na organizatorach sieci handlowej, są pod tym względem analfabetami. Mam naprawdę serdecznie dosyć karteluszków typu „Robienie kasy”, regularnego zamykania sklepów z okazji przyjmowania dwu kartonów z towarami czy też w ogóle bez okazji, za to na kilka nawet godzin przed oficjalnie obowiązującym czasem. Powinno się po prostu pewnego pięknego dnia wywieźć wszystkich łomżyńskich sprzedawców np. do Nowosądeckiego, by nauczyć ich elementarza zasad traktowania klientów.

Chciałbym też, żeby „Kontakty” zajęły się skutecznie czystością wojewódzkiej stolicy. Znów powołam się na przykład Nowego Sącza: ulice są tam spadziste, na które byle deszczyk nanosi kamienie, patyki, a jednak nigdzie nie widać żadnego śmiecia. W czym tkwi tajemnica: ich prezydent nie jeździ samochodem, tylko chodzi piechotą, a jest to niezawodny sposób, by dojrzeć wszystko, co z okien auta jest niewidoczne.

Czego mi natomiast brakuje w tygodniku: przede wszystkim większej ilości tekstów o historii Łomży i regionu. Myślę, że jest bardzo wielu ludzi, nawet w zarysie nie znających dziejów miejsc, z którymi związali własną przyszłość.

Jestem zdecydowanym zwolennikiem diabłów z ostatniej strony. Żał byłby ogromny, gdyby redakcja zrezygnowała z nich zupełnie. Niech zostaną — pod warunkiem, że nadal będą zalewać sadła za skórę dopominającym się o to swoją działalnością, a nie tylko rządzić w sektorze czystej abstrakcji.

DR STANISŁAW GODLEWSKI, lekarz z Ośrodka Zdrowia w Trzciannem: — Cenię w „Kontaktach” to, że sięgają po tematy krytyczne, sondują rzeczywistość pod kątem wywiązywania się poszczególnych instytucji i osób z zobowiązań wobec mieszkańców. Mam natomiast nieco zastrzeżeń co do formy przekazywania tego krytycznego nastawienia: czasami nadto przeważa strona ciekawostkowa, humorystyczna czy aluzyjna podejście, co — według mnie — stępią ostrze krytyki; sprawa, że przez wielu jest ona przyjmowana jako groźenie palcem, a nie okładanie kijem, jak tego wymaga dany problem. Chciałbym też, by wszystkie sprawy były wyswietlane „od podszewki”. Takie podejście — pokazywanie wszystkich szczegółów i doprowadzanie sprawy do końca — napawa ludzi optymizmem; wierzą, że coś się zmienia na lepsze. Nawet jeśli nie dotyczy to bezpośrednio ich własnych bolączek.

Myślę, że dobrym magnesem mogłyby być również częstsze drukowanie pozycji o tematyce historycznej. Na przykład numeru, w któ-



Rysunek Jana Kurnickiego

rym publikowaliście wspomnienia Edwarda Osóbki-Morawskiego, musiałem szukać w kilku kioskach — wykupiono go błyskawicznie.

JADWIGA ZIELIŃSKA, przełożona pielęgniarek w Szpitalu Wojewódzkim w Łomży: — Pismo partyjne musi być pismem społecznym; powinno zawierać dużo informacji interesujących wszystkich mieszkańców miast i wiosek. Mieszkam w Łomży i chciałabym na bieżąco wiedzieć, co aktualnie się buduje, jakie są plany na przyszłość, jakimi funduszami dysponuje miasto. W takim piśmie trzeba nie tylko opisywać przeżycia ludzi, ale i to, co dzieje się w zakładach pracy. Powinno się zamieszczać dyskusje nie tylko z ludźmi na stanowiskach, ale także z szarymi obywatelami. Niech dziennikarze informacje o zakładzie czerpią nie tylko z rozmów z dyrektorem, ale i ze zwykłymi pracownikami. Oni na własnej skórze odczuwają wszelkie problemy i najwięcej mogą o nich powiedzieć.

Najbardziej zależy mi na tym, aby zawarte w tygodniku treści były prawdziwe. Na to powinni redaktorzy zwracać uwagę już w momencie zakładania go. Jeśli od początku nie będzie ono wiarygodne, czytelnicy nie będą go szanowali. Może prawdę w wypowiedziach dałoby się osiągnąć przez nieujawnianie nazwisk informatorów?

Denerwują mnie również odpowiedzi udzielane prasie przez krytykowane instytucje. Gdy się je czyta, ogarnia człowieka złość. Najczęściej są one pozytywne i obiecujące poprawę. W papierach wszystko się zgadza, ale rzeczywistość po prasowych interwencjach niewiele się zmienia. Chciałabym, żeby dziennikarz z partyjnego pisma sprawdził jeszcze raz, czy braki w krytykowanej instytucji zostały usunięte, a jeśli nie, wówczas kierownictwo zakładu powinno zostać w jakiś sposób ukarane.

Pismo partyjne powinno zawierać materiały opisujące działanie partii. Najwięcej członków partii zatrudnionych jest w instytucjach państwowych; tam działają Podstawowe Organizacje Partyjne. O nich powinno być dużo informacji, żeby można było porównać, jak pracują w różnych organizacjach. Władze partyjne miałyby dodatkową informację o POP.

Myślę, że artykuły w takim piśmie muszą być obiektywne. Piszący powinien naświetlić problem, którym się zajmuje, ze wszystkich stron. Posłużyć się konkretnym przykładem. Mnie, pracownika służby zdrowia najbardziej interesują artykuły opisujące moją dziedzinę. Wiele negatywnych uwag wypowiedziano na łamach prasy o pracownikach

łomżyńskiego Szpitala, ale czy ktoś z piszących zwrócił uwagę na to, że poduszki czy koce nie są wymieniane od wielu lat? Inspektorzy Sanepidu, którzy kontrolują różne instytucje, dziwią się, że w Szpitalu na oddział otrzymujemy paczkę proszku, a wanny szorujemy piaskiem. W oddziale — zamiast szesnastu pielęgniarek — pracuje osiem. Prosiłabym, aby redaktorzy „Kontaktów” mieli to na uwadze.

MAREK STRZALIŃSKI, lekarz weterynarii: — Mój tygodnik partyjny musi być przede wszystkim w ogóle dobry jako czasopismo. Mój, to znaczy głęboko osadzony w naszej rzeczywistości, tradycji i kulturze. Mój, to znaczy otwarty na wszystko, czym żyjemy, co nas cieszy, co nas martwi, co nas mobilizuje do pracy, napełnia gorącością i zniechęceniem; na wszystko, co tworzy naszą codzienność i na wszystko, z czego rodzi się nadzieja na lepsze jutro. Oczekuję od „Kontaktów”, że będą źródłem rzetelnej wiedzy o tym, co dzieje się w naszym regionie i kraju.

Publikacje prasowe prezentujące program partii i jej faktyczne dokonania są najpowszechniej dostępnym źródłem informacji i — jako takie — mają do spełnienia doniosłą rolę: mogą w powszechnej świadomości naprawić, wypaczony propagandą minionego okresu, obraz partii. Partia, w ofensywie o odzyskanie społecznego zaufania, musi mieć szansę na prezentowanie założeń generalnych i dróg ich realizacji, na które składają się przecież nawet te najdrobniejsze dokonania poszczególnych członków partii, organizacji partyjnych oraz instancji różnych szczebli.

Z drugiej strony tygodnik, rejestrując mnogość problemów, jakie występują w różnych środowiskach, winien być dla wszelkiej władzy jedynym ze źródeł wiedzy o istotnych potrzebach ludzkich i społecznych. Jedyne pismo województwa nie może ograniczyć się do kręgu spraw politycznych i społecznych. Sądzę, iż obowiązkiem jego jest również utrwalanie materialnego i duchowego dorobku przeszłości, stale wzbogacanie dziełami twórców i pracą ludzi.

„Kontakty” winny stać się nie tylko zapisem dokonań, ale i pobudzać do szerszej refleksji, inspirować do działań; stać się forum dla otwartej, oczyszczającej dyskusji.

Większość tych zadań „Kontakty” spełniały dotychczas właściwie. Wydaje się, że niepotrzebnie zespół redagujący tygodnik uwierzył w obiegową, choć nie powszechną opinię, iż „Kontakty” były czasopismem zbyt ambitnym.



niepotrzebni

Pracownikom łomżyńskiego „Korgazu” wydawało się, że ich zakład ominą przykre następstwa reformy gospodarczej. Do ich produkcji jest niepotrzebny wsad dewizowy, a jedyny kooperant, płocka „Petrochemia”, z umów wywiązuje się należycie, zaś ceny za dostarczony gaz podwyższono, więc przyszłość rysowała się spokojna i dostatnia. Uderzenie przyszło z najmniej oczekiwanej strony. „Zakład musi pozbyć się transportu” — zawyrokowały tzw. czynniki wyższe; zgodnie z ministerialnymi zarządzeniami — transport należy centralizować w PKS-ie, „Transbudzie” i STW. To, co dotychczas było jednym ze źródeł dochodu przedsiębiorstwa, ma być mu zabrane i odrzucone jako „uciążliwość”.

Dyrektor „Korgazu”, Hieronim Ogrodnik, nie jest zdecydowany, jak powinien postąpić: — Jeśli problem rozpatrywać z pozycji ekonomicznych, to transport przedsiębiorstwu bardzo się opłaca. Ale jeżeli będą dalsze ograniczenia w dostawach paliwa, części zamiennych, czy poradzi sobie? Za co kupimy nowy tabor?

Kierowcy wahanie dyrekcji zrozumieli jednoznacznie: ich dni w „Korgazie” są policzone. Wokół sprawy rosła więc niezdrowa atmosfera, zasilana wieściami z administracji, też częściowo zainteresowanej w utrzymaniu transportu w przedsiębiorstwie. Zgorzknienie i rezygnacja załogi utrzymywały się na równym poziomie do momentu, kiedy PKS

przypomniał sobie, że powinien energiczniej przystąpić do analizy zasad funkcjonowania transportu. Trudno dociec, co było przyczyną ożywienia pekaesowskiej działalności: może widoczne postępy w budowie nowej zajezdni albo trudności ze znalezieniem ładunków? Miarę przełamało zmontowanie w bazie PKS-u kilku zestawów samochodowych, przystosowanych do wożenia gazu. Atmosfera w „Korgazie” stała się nie do zniesienia. Dyrektor Ogrodnik, chcąc rozładować niezadowolenie kierowców, zaprosił na zebranie dyrektora PKS-u. Kierowcy wcześniej wyjechali w trasy, aby na nie zdążyć. Liczyli na to, że jeszcze da się coś zmienić. Przecież obiecywano im, że załoga będzie decydowała o sprawach zakładu. Przyszli wszyscy i w milczeniu zajęli miejsca w zakładowej świetlicy.

Spotkanie rozpoczyna dyrektor Ogrodnik: — Nigdy nie zależało mi na tym, aby pozbyć się transportu z zakładu. Dzisiaj mamy z niego zyski, ale gdy nie będzie stać nas na kupno nowego samochodu, gdy jeszcze bardziej ograniczą dostawy oleju, akumulatorów, jak będziemy wówczas jeździć?

Rozlegają się głośnie szepty kierowców. Przerywa je stanowczy głos dyrektora PKS-u, Jerzego Brody: — Wojewoda łomżyński wydał zarządzenie o przejęciu transportu „Korgazu” przez moje przedsiębiorstwo. Monterów mogę przyjąć od zaraz, a kierowcy najpierw muszą przejść egzamin. Myślę, że sobie poradzicie.

Tabor pekaesowski znacie. Mogę wziąć wszystkich dziewiętnastu. U mnie kierowca zarabia do dwudziestu siedmiu tysięcy.

Śmiech wśród zebranych. A potem sypią się pytania, odpowiedzi, argumenty i kontrargumenty.

— W jakim transporcie pan nas zatrudni?

— W towarowym.

— Śmieci będziemy wywozić. Czy gaz też?

— Część kierowców będzie woziła gaz.

— W zakładzie otrzymujemy po 28 złotych za godzinę, a pan proponuje 26 złotych. W ten sposób jesteśmy stratni o półtora tysiąca, a nawet i ten zarobek nie jest pewny. Mam brata w PKS-ie; mówił mi: „Ludzie u nas chodzą bez pracy. Gdy zobaczą dyrektora, chowają się pod przyczepe”. Wiemy, dlaczego chce pan wziąć nas do siebie: plan się wali, brakuje ładunków do przewożenia.

— Ja mam plan za pierwszy kwartał o trzy miliony przekroczony. Gorzej nie będziecie zarabiali, są przecież płatne dyżury.

— Połowa naszych kierowców pracowała kiedyś w PKS-ie. Jeśli chciało się zarobić, trzeba było załatwić sobie ładunek. Na warsztacie płaciło się z własnej kieszeni mechanikom. Zakład zmilitaryzowany, wysła na placówkę i siedź tam, daleko od domu, rodziny.

— Wysyłamy takich, którzy tam mieszkają. Po co ma kierowca dojeżdżać, na przykład, z Kolna do Łomży, skoro może pracować na miejscu.

— Panie dyrektorze — kierowcy

się niecierpliwią — nasze spotkanie nie ma sensu. Skoro wszystko jest zdecydowane, to po co dyskutować o naszym przejściu do PKS-u?

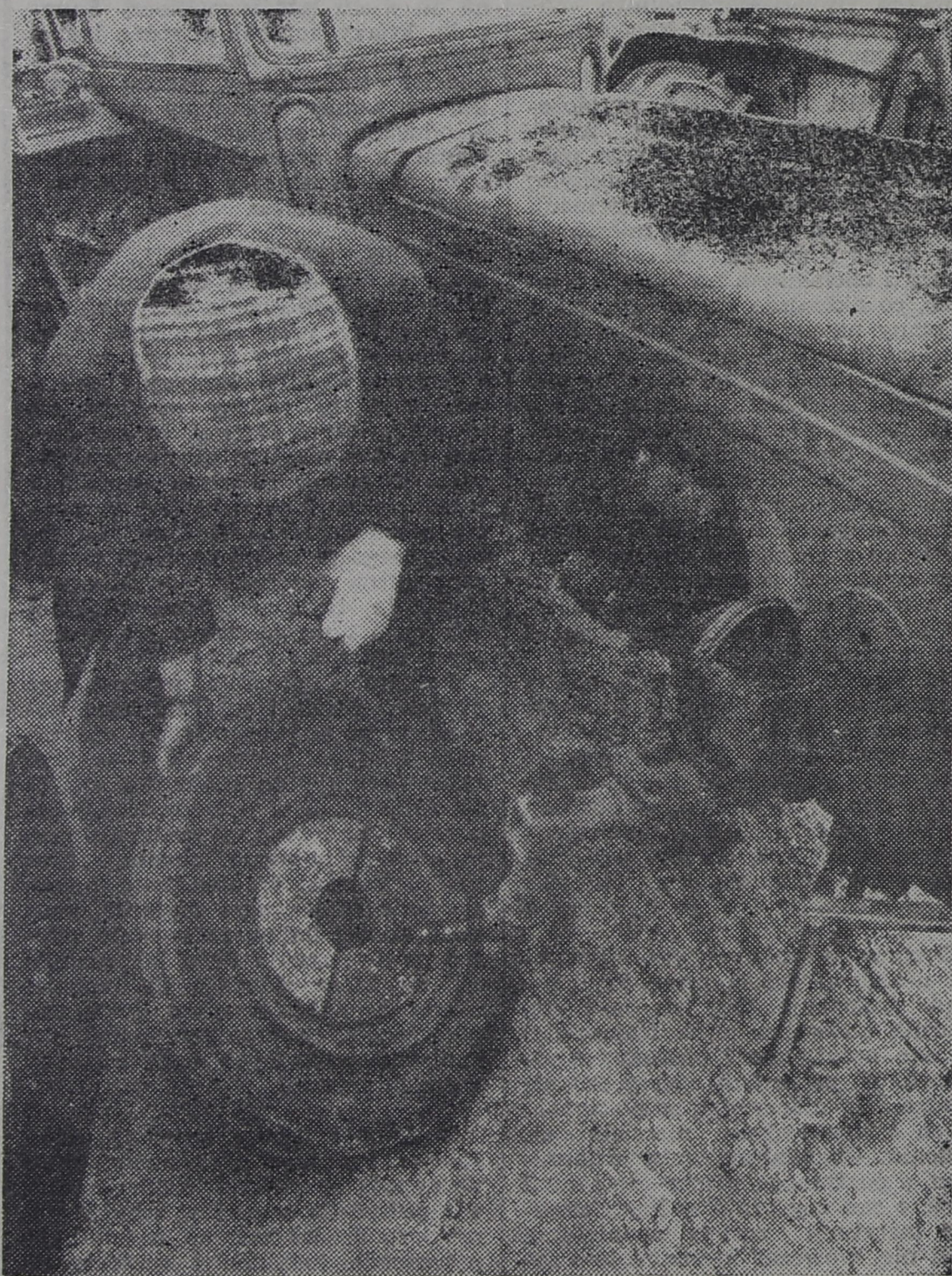
— W „Korgazie” mamy spore zaplecze techniczne, szkoda byłoby to wszystko zostawić na złom — szukają ostatnich argumentów — Siedmiu pracowników umysłowych trzeba zwolnić.

Dyrektor Broda i na te argumenty znajduje odpowiedź: — Co do magazynu, to weźmiemy; wiele rzeczy nam się przyda. Pracowników umysłowych nie zatrudnimy, przejdą na fundusz interwencyjny; trzy trzysta, podaję dla zainteresowanych.

Kierowcy nie są jednak przekonani: — W PKS-ie będziemy bez pracy albo tam nas wyślą, gdzie nikt nie zechce jechać.

Mozolna jest ta rozmowa nieufnych z pewnymi swego. Kierowcy po dzisiejszym spotkaniu nie spodziewali się zbyt wiele. Tego tylko, że potraktuje się ich poważnie. Pracowali przecież w „Korgazie” po kilkanaście lat; znają wszystkich, są zżyci, czują się tu u siebie. Nie zawsze było lekko, to prawda. Brakowało części zamiennych, trzeba było starać się o nie samemu. A wiadomo: każdemu zależy, aby samochód jeździł; jest wtedy praca, są pieniądze. Nawet nie oglądali się na ładowaczy, których jest niewiele, tylko butle dźwigał sam, za darmo. Nie było przestojów; gaz rozwieszony na czas, odbiorcy zadowoleni. Za kilka dni pójda do innych przedsiębiorstw. Będą musieli poznawać nowe zwyczaje i... czekać do następnej reorganizacji.

WIESŁAW KOŁOWSKI



Stoją na górze we wzorowym ordynku. Już z daleka prezentują się jak spracowani, ale rzeźby weterani. Dopiero gdy podejdziesz się bliżej, ujawniają swoje rany: kabiny bez tablic rozdzielczych, z powyrzwanymi przewodami, bez szyb. Koła nałożone na osie bez śrub — skręcają same... przy silniejszym wietrze. Uzupełniają je cegły lub żelazne stojaki, na których ustawiono ciągniki.

Na licytację zorganizowaną w Podgórzu SKR „przygotował” więcej maszyn. Są snopowiązałki bez pasów transmisyjnych, kopaczki ciągnikowe bez łańcuchów, brony talerzowe, pługi.

— Kupię ciągnik za 300 tysięcy i co dalej? — zastanawiają się rolnicy. — Skąd wziąć części do napra-

wy. SKR zapłacił za niego 120 tysięcy, a naprawa będzie kosztowała 300 tysięcy.

— Prądnica do wymiany, to samo z silnikiem, luzy w kołach.

— Przecież do sprzedaży powinni wystawiać sprawne maszyny. Mają warsztaty, mogą postarać się o części zamienne. A rolnik musiałby brać worek kielbasy, drugi chleba i jeździć po Polsce, szukać części.

Idziemy do hali naprawczej, gdzie ustawiono biurka. Rozpoczyna się przetarg. Przystępujący do przetargu składają zaświadczenia o wpłaconych wadium i posiadanych gospodarstwach.

— Jak ktoś kupi ciągnik, SKR pomoże załadować na przyczepę? Bo przecież sam nie pojedzie — żartują rolnicy.

licytowanie złomu



— Owszem, pomożemy, ale na koszt kupującego. Proszę odsunąć się, rozpoczynamy przetarg. Ciągnik z kabiną i ramą ochronną, cena wywoławcza 119 tysięcy 519 złotych. Zgłasza się chętny.

— Proszę przedstawić dowód wpłaty wadium. Minimum podbijania ceny: 500 złotych. Przypominam wywoławczą: 119 tysięcy 519 złotych.

— To będę pierwszy — 127 tysięcy.

127 tysięcy po raz pierwszy, pan Aliński.

— 130!

— 130 tysięcy po raz pierwszy, pan Jurkowski.

Ci dwaj pozostają na placu boju. Cena dochodzi do 151 tysięcy.

— Chwileczkę — wkracza ktoś z z gapiów — unieważnić przetarg! Kupują na handel.

— Odsunąć od przetargu — wołają inni rolnicy — czwarty ciągnik kupił.

— Zaświadczenie wystawione jest legalnie, pan Jurkowski kupił ciągnik. Po co się kłócić? Są inne ciągniki. Bardzo proszę: ciągnik z numerem rejestracyjnym LOY 812C; cena wywoławcza — 148 tysięcy. Czy są chętni?

— Kup go pan sam! Rejestruję ceny wywoławcze ciągników: 176 tysięcy, 181 tysięcy, 182 tysiące, 186 tysięcy, 224 tysiące; kombajn — 1308 tysięcy. Rolnicy z uśmiechem przyjmują odczytywane ceny.

— SKR-owi portfela nabijać nie będziemy — śmieją się.

Ale gdy przychodzi do przetargu, zapominają o danym słowie. Dąbrowski z Wołkowskim dociągają cenę kopaczki ciągnikowej z 25 do 48 tysięcy. Potem przychodzi refleksja: — Zenek, mówiłem, żebyś nie podbijał!

Rolnicy grupują się, naradzają: — Przecież nie można takich pieniędzy płacić za złom. Zgłaszają się po dwóch, umówieni. Tak kupują kopaczkę ciągnikową Gemborys z Sawickim. Cenę podbili tylko o 500 złotych, dla formalności. Podobnie Załęcki z Zalewskim kupili pług ciągnikowy. Większość maszyn nie znajduje chętnych.

— Teraz jest zły czas na kupowanie złomu. Pieniądz ma wartość; lepiej dołożyć, poczekać i kupić nowy.

(T.K.)

Fot. GABOR LÖRINCZY



przypięcie do ziemi, wielką pracowitość, umiłowanie zawodu, wytrwałość i bezprzykładowy upór w przezwyciężaniu trudów. To wszystko miało wypełnić treścią naczelną zadanie rolnictwa w warunkach gospodarki socjalistycznej: wzrost produkcji służący maksymalnemu zaspokojeniu potrzeb społeczeństwa, kojarzony z przeobrażeniami ustrojowymi w rolnictwie i na wsi.

Do dalszych rozważań nad drogami rozwoju łomżyńskiego rolnictwa potrzebny jest przynajmniej bardzo ogólny rys jego walorów i specyfiki. Ponieważ warunki ekonomiczne dla produkcji rolniczej były w całym okresie minionego dziesięciolecia takie same dla wszystkich regionów kraju, zróżnicowanie wyników jest następstwem nie różnej koniunktury w regionie, ale wyłącznie gorszych parametrów bazy. Spróbujmy zasygnalizować wybrane z nich, te, w których tkwiły przeszkody rozwoju rolnictwa nawet w sytuacji, gdy założenia i cele polityki rolnej były zrozumiałe dla pokażnej części rolników oraz — w swej zasadniczej treści — akceptowane.

Jakość naszej rolniczej przestrzeni produkcyjnej naukowcy z IUNG w 1975 r. sklasyfikowali na 46 miejscu w kraju (na 49 województw). Gorsze niż średnie dla kraju były i są nadal elementy składowe tego wskaźnika waloryzacji przestrzeni w takich pozycjach, jak przydatność rolnicza gleb i stosunki wodne. Gleby V i VI klasy stanowią aż 45 proc. wszystkich gleb; co czwarty hektar gruntów ornych i ponad połowa użytków zielonych wymaga melioracji. Mniej korzystne, w porównaniu do kraju, były również wskaźniki zainwestowania w rolnictwie, mierzone głównie wyposażeniem w techniczne środki pracy, zaopatrzeniem rolnictwa i wsi w wodę, zużyciem energii elektrycznej itp. Tylko 8 proc. gospodarstw (25 proc. w kraju) korzystało z wodociągów. Na jeden ciągnik przypadało u nas w 1975 r. prawie dwa razy tyle hektarów użytków rolnych, co średnio w kraju. Niższa była stale wielkość usług świadczonych rolnictwu przez jednostki uspołecznione. Na 100 hektarów użytków rolnych było u nas czynnych zawodowo 28 osób, zaś w kraju — 33.

Te wszystkie słabości łomżyńskiego rolnictwa można było jedynie rekompensować pracowitością ludzi. To był nasz najcenniejszy kapitał, jakim dysponowaliśmy. Korzystnie rysowała się również struktura agrarna indywidualnych gospodarstw, które wchodziły ponad 96 proc. wszystkich użytków rolnych. Wyróżnikiem łomżyńskiego było to, że 60 proc. użytków rolnych należało do gospodarstw obszarowo dużych (ponad 10-hektarowych), a było ich 35 proc.

W takich, skrótnie biorąc, realiach w połowie lat siedemdziesiątych musieliśmy określić na najbliższe 5 lat (do 1980) nasz udział w produkcji żywności. To deklarowanie przypadało po latach 1974 i 1975, kiedy nasze nie doinwestowane rolnictwo odczuło z całą jaskrawością (i szczególnie dotkliwie) niekorzystne warunki przyrodnicze. Mimo tej pierwszej przykrej lekcji w paśmie sukcesów rok 1975 zamykał — odnosząc do 1970 — wzrostem o 23 proc. pogłowia bydła, o 32 proc. pogłowia trzody chlewnej i o 34 proc. — skupu żywca.

Nie mając materialnych gwarancji trwałości strumienia środków produkcji i doskonalenia mechanizmów ekonomicznych — przyjęliśmy jeden (i tylko jeden) wariant rozwoju naszego rolnictwa. Mało tego; na lata 1976—80 przyjęliśmy wyższe niż w kraju zadania wzrostu produkcji rolnej. Przykładowo: skup żywca — będący wypadkową pogłowia i intensywności chowu — miał wzrosnąć o ok. 55 proc., a mleka o ponad 40

proc. w stosunku do roku 1970. Poniosła nas radosna twórczość. Dotyczy to także i mnie, bowiem byłem członkiem instancji, która 26 kwietnia 1976 r. — na wspólnym plenarnym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Wojewódzkiego Komitetu ZSL-u — takie dokumenty przyjęła. Nie wkalkulowaliśmy do koncepcji faktu, że w miarę wzrostu produkcji dalsze przyrosty trudniej uzyskać. Najłat-

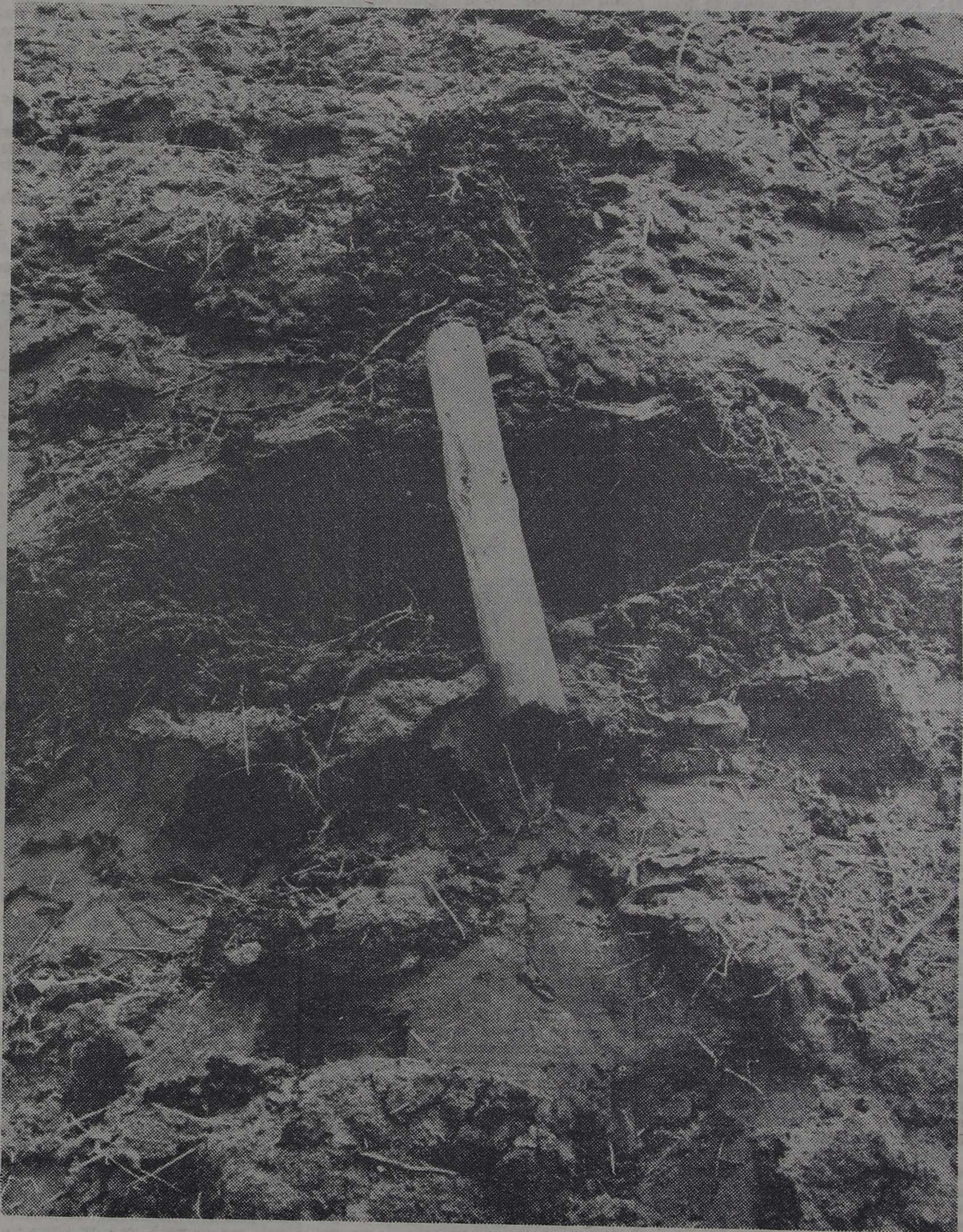
czyli usprzątnąć się, a ich właściciele posiadali z reguły wyższe kwalifikacje fachowe. Miały też lepsze warunki przyrodnicze. Tempo, w jakim te samorodki dochodziły do prawie optymalnego zorganizowania się, znamy z autopsji.

U powszechnienie tego procesu i prowadzenie go z zaplanowaną dynamiką było zadaniem trudnym, a po wnioskach lat 1977—78

gruntów. Podobnie z pozostałymi produktami: żywcem wołowym, baranem i wełną. A sumując powierzchnię — zostawało jej dużo jak ziemi drugiej kategorii czy też mniej chętniej do obsługi, sporo brakowało do 454 tysięcy hektarów użytków rolnych.

I tak — najogólniej mówiąc — już w namiarach pogrzebalismy średniaka i biedaka lub tego nieprzebojowego. U podstaw stawiania na specjalizację leżały też argumenty ważkie w gospodarstwach większych i przedeim-

gospodarstwo pod kreską



wiejsze do ujawnienia są rezerwy proste i te właśnie załatwiły lata 1971, 1972 i 1973.

Innym istotnym problemem ze sfery planowania była metoda odniesienia możliwości produkcyjnych do poziomu produktywności gospodarstw, które już wtedy określano mianem specjalistycznych. Wtedy, użytkując 0,5 proc. ziemi, sprzedawały one państwu 1,4 proc. żywca i 1,3 proc. mleka. Wyciskały wprawdzie trzy razy więcej z jednostki powierzchni niż gospodarstwa przeciętne, ale jaki miały one wtedy rodowód ekonomiczny i czy mogły być miarodajne do określenia pulapu produkcji wszystkich podobnych gospodarstw (obszarowo i rodzajowo) lub choćby tych, które deklarowały zamiar specjalizowania się w najbliższych latach? Były to gospodarstwa, które bez większego naszego formalnego oddziaływania w latach 1970—75 mogły najłatwiej i najniższym kosztem poprawić warunki organizacyjne w produkcji,

— wręcz szkodliwym. Nie mogły one wtedy być opiniodawcą naszych założeń produkcyjnych i metod intensyfikacji, bo jednak nadal zdecydowana większość produktów pochodziła nie od nich, zaś szacunkowy koszt i zakres doinwestowania gospodarstw mierzone brakiem w grupie liderów dał rozbieżny ze stanem faktycznym wymiar potrzeb docelowych. Liczony nawet tak — nie był ten rejestr ubogi jak na wydolność przemysłu i obsługi rolnictwa w tamtych latach. Imponująco prezentowały się zamierzone efekty. Pamiętam bardzo uproszczoną formułę, która posługiwała się wcale nie od święta: jeśli — zgodnie z wymogami resortu — kupimy od specjalistów żywca trzodowego (800 kilogramów z hektara) albo mleko (3000 litrów z hektara) to całą produkcję towarową województwa można kupić (odpowiednio dla kierunków produkcji) z 45 tysięcy hektarów i 83 tysięcy hektarów

jących specjalizację (trzeba to stwierdzić poza wszelką dyskusją) relacje efektów do nakładów są najkorzystniejsze.

Będzie to istotne z punktu widzenia planów intensywnego rozwoju nowoczesnego rolnictwa opartego na gospodarstwach większych.

Dziś najłatwiej i najpilniej nam wrócić do gospodarstw, których rezerwy tkwią głównie w rekacji i motykach. To jedna konieczność w całym kraju, jeśli chcemy odrestaurować produkcję, zwłaszcza produkcję zwierzęcą w wielu tysiącach drobnych warsztatów rolnych. Gospodarstwom takim w odróżnieniu od tych o uboższej produkcyjności zwierzęcej nie zagrożą dysproporcje strukturalne, chodzi tu o dysproporcje pomiędzy produkcją roślinną a zwierzęcą w warunkach ograniczonego eksportu zbóż i pasz.

MIECZYSLAW BAGIŃSKI
Fot. GABOR LORINCZ

nie dajmy się biedzić



To, co tu zapiszę, będzie żywym pamiętnikiem pięknej, nieuchwytniej, trudnej miłości. Dokumentem prawdy i prawdziwego, szczerzego uczucia, które nagle wtargnęło w moje czyste, dumne życie ze swymi brutalnymi prawami. Nie wiem do teraz, jak zapomnieć to uczucie, pod którego wpływem drżą mi ręce i dziko trzepocze serce. Zastanawiam się, jak doszło do takiego zaślepienia i polamania praw natury

Były i są w mym życiu rzeczy, o których nie da się zapomnieć, a tym bardziej komukolwiek ich powtórzyć. Rzeczy i czyny, które są treścią mego dramatu. [...]

Od początku szkoły średniej zaczęłam jak gdyby szybko żyć, brać wszystko, co jest po drodze, nie przecząc rzeczy pięknych i ciekawych. To przyspieszone dorosłe życie zaczęło mi się podobać. Jako dziewczyna twarda i bez skrupułów starałam się za wszelką cenę dorównać starszym i doświadczonym koleżankom więc czego nie doznałam — wymyślałam sobie i starałam się upięknąć kłamstwem. Przerosiłam własne oczekiwania. Przez wszystkie lata szkoły nie zaznałam niepowodzenia, nie musiałam przeciwstawić się żadnym nieszczęściom, byłam otoczona gronem osób, które pragnęły mojej opinii i pomocy. Byłam słaba jak one, ale nie odważyłam się spojrzeć prawdzie w oczy i stracić zdobytej pozycji.

Moim największym — już od dzieciństwa — marzeniem było zdobycie prawdziwej przyjaźni; chciałam mieć kogoś naprawdę na własność, dzielić z nim radości i smutki. Nie mógł to być chłopak. Wydawało mi się, że z mężczyzną nie można zrobić przyjaciela, bo każde uczucie sprowadzi do jednego. Może stąd brało się to przekonanie, że przedwcześnie poznałam miłość i stałam się kobietą.

Na imię miała Urszula. Spotkałam ją przypadkiem na ognisku za szkołą. Przyszła z koleżanką z mojej klasy. Od razu ją dostrzegłam. Ona też patrzyła na mnie, ale jakoś inaczej: dłużej i delikatniej; jej oczy jak gdyby wtapiały się w moją twarz. Potem, w domu, odniosłam wrażenie, że już wcześniej ją znałam... Minęło kilka dni, a ja nie mogłam zapomnieć jej dziwnego patrzenia. Nie odważyłam się jednak dopytywać o jej adres.

W tydzień później podeszła do mnie dziewczyna, która z nią była na ognisku i bez ogródek zaczęła mówić o rzeczach, które normalnie ludzi krępują. Powiedziała, że jej koleżanka chce mnie poznać, ale nie w sensie przyjaźni; w sensie głębokiego uczucia. Zrobiłam na niej ogromne wrażenie; czuję, że już nie jest sobą. Nie wie, czy może o mnie choćby marzyć. (Majka przyznała się, że już kilka razy Urszula przekazywała przez nią takie słowa innym ładnym dziewczynom).

Słuchając tych wyznań paliłam się ze szczęścia, bo przecież ona również mi się podobała. Przekazałam przez Majkę wiadomość o terminie spotkania, a następnego dnia nie mogłam doczekać się końca lekcji.

Gdy ją ujrzałam, zaparło mi dech w piersiach. Ona również była oświeśmiona, więc szłyśmy kawałek w milczeniu. Wreszcie poprosiła, abym weszła do jej domu, gdzie będzie nam łatwiej rozmawiać.

Wewnątrz ciemnego pokoju, gdzie skromnie usiadłam na tapczanie, jej głos szeptał do mnie: — Moniko, podobają mi się twój sposób godzenia się z życiem. Nie przejmujesz się blachostkami, jesteś twarda. Ujęła mnie twoja swoboda bycia. Nie mogę pogodzić się z myślą, że mogłabyś być szczęśliwa beze mnie.

Ledwo powstrzymałam się od opętanej radości. Pocałowałam ją w policzek mówiąc: — Miłość, zaufanie, szacunek, są to rzeczy ważne, o niczym innym nie marzę.

Była osobą, do której nie musiałam się przyzwyczajać — bliską i ciepłą. Przytłoczona szczęściem, siedziałam oparta o jej ramię, bezpiecznie i spokojnie. A potem poszłam do domu nie myśląc o niczym innym, tylko o naszej przyjaźni. Tęskniłam już do następnego dnia.

Nazajutrz okazało się, że ona nie chce przyjaźni, lecz miłości. Myśli o mnie jak mężczyzna, lecz nieśmiałość nie pozwala jej wykorzystać sytuacji. Nie bardzo rozumiałam, o co jej chodzi.

Mocno speszona mówiła dalej, że

jestem jej pragnieniem, ale krępuje ją strach, który nie opuszcza jej od chwili spotkania ze mną.

Poczułam nagle, że Urszula zatraciła poczucie rzeczywistości. Szeptala coś o życiu w grzechach, utracie wszystkich dotychczasowych wartości. Serce ścisnął mi ból. Przestraszyłam się, że ją stracę. Chwyciłam jej ręce tak mocno, że moje paznokcie odcisnęły na nich półksiężycy. Chciałam ją pocałować, tylko dla dodania otuchy, ale jej usta wyprzedziły mnie i najpierw dziko, a później delikatnie zaczęły przesuwając się po mojej twarzy. Całując ją miałam wrażenie, że przebijam się przez grubą mgłę między widmami a cieniami...

Nagle krzyknęłam: — Nie mogę! Nie mogę! Nie teraz, nie dzisiaj! — i wybiegłam gnana strachem, z walącym sercem.

Biegłam coraz prędzej w górę ulicy, aż przed oczami zamajaczyło mi światło. Uczępiłam się go świadomością jako jedynej oznaki rzeczywistości, szansy ocalenia.

Usiadłam na schodach mojego domu i starałam się opanować rozrzedzone nerwy. Już rozumiałam, co się stało, ale nie byłam zgorzonna — przeciwnie: ja również jej pragnę-

łam myślami przy Urszuli. Wiedziałam z doświadczenia, że ten stan ustąpi wkrótce miejsca silnemu bólowi głowy.

Po kilku dniach sama niespodziewanie czekała pod moim blokiem z oczami pełnymi wstydu i pogardy wobec siebie. Nie wiem, co się działo ze mną w tym momencie. Poczulałam wewnątrz straszny żar; bałam się, że wkrótce wypłynię on w górę i będzie palił mi policzki. Bałam się, że ona to zobaczy, więc odwróciłam głowę i poprosiłam, by weszła na górę do mieszkania. Patrzyłam, jak wchodzi po schodach i dawał się z bólu. Odwracając się szepnęła, że może to zabrzmi śmiesznie, ale mnie kocha i dlatego nie miała odwagi przyjść prędzej. Patrzając na nią byłam pewna, że mogę odpowiedzieć jej w tym samym tonie.

Nie wiedziałam później, czy moja odpowiedź zabrzmiała głośno, czy po prostu każde jej słowo potraktowałam jako nasze wspólne. Wiedziałam natomiast, że rozsądek nie będzie miał tu już prawa głosu.

Gdy weszliśmy do domu, próbowałam jej tłumaczyć od nowa, że pragnęłam tylko jej przyjaźni, ale zlamalam się i dokończyłam: — Ale teraz pragnę cię mieć i czuć zapach



twojego ciała, twych włosów, gładzić twe policzki, całować nabrzmiałe usta i układać umęczoną głowę na twoim ramieniu.

Po tych słowach usiadłyśmy na wersalce. Kładąc się mówiła, że nie może uwierzyć, iż ja — jedna ją zrozumiałam i wdarłam się do jej głębi. Przyjmuję jej miłość i swoje w niej miejsce bez buntu, nie zastanawiając się nad tym, czym przytłaczam ją do mnie.

Ale skrepowanie było silniejsze, więc kupiłyśmy sobie wódkę. Wypiłyśmy. Atmosfera wstydu rozrzedziła się.

Mijały tygodnie, miesiące, a nasze uczucie pogłębiało się. Nie miałyśmy go ani codzienność, ani przyzwyczajenie. Ale w miarę upływu czasu moje oczy zaczęły patrzeć szerzej i dalej, a rozumienie sprawy stawało się dojrzałe. W chwilach uniesień uczestniczyły tylko uczucia, ale poza nimi górowały myśli i chęć zrozumienia naszych pobudek. Dochodziłam do przekonania, że jej miłość wcale nie jest dla mnie taka ważna i nie uczyniła mnie wcale szczęśliwszą, chociaż odkryła przede mną obszary nie znanego mi uczucia. Bałam się jej to powiedzieć, by nie przerwać nici porozumienia między nami.

Wreszcie zdecydowałam się; powiedziałam jej bez upiększeń, że chcę być po prostu sobą, więc nasze drogi muszą się rozjechać.

Walczyliśmy o sprawę z góry przegraną — mówiłam — a przez zaślepienie tylko nabawimy się kłopotów. Chcę mieć spokój, zapomnieć, nie chcę mieć nic wspólnego z kobietą i nie chcę być zmuszana do rzeczy, których nie powinnam robić.

Następnego dnia nie zastałam jej w domu, a gdy dzień mijał, nie mogłam uciszyć tęsknoty. Byłam otępiała. Jak ćma wokół lampy — krą-

MONIKA z Katowic
Fot. CAF

czyli w szponach
bluźnierczej
namiętności
wbrew naturze



fatalny skok

Na pasterkę wyszedł trochę wcześniej. Nie chciało mu się siedzieć z matką, która znów zaczęła coś mamrotać. Wpadł do Janka. Był też jego starszy brat, Jurek. Obaj uciekali się na widok Krzyska. Wieczór wigilijny skłania do marzeń, szczególnie w dwudziestym roku życia i na lekkim rauszu. Marzenia są proste i jasne: letnia przygoda, pachnący las, jezioro pełne ryb, a na jego brzegu — ukochana dziewczyna. Dla nie pracujących lato naprawdę trwa trzy miesiące, a nawet nieco dłużej.

Marzenia powoli się konkretyzują; dziewczyny już są, lecz potrzebne wszystko inne: namioty, śpiwory, wędkę. Trzeba je zdobyć, a to niełatwe. Nawet gdyby się miało pieniądze, bo sklepy świecą pustkami. Sprzęt turystyczny może być jedynie w magazynach. I rzeczywiście jest. Piętro niżej znajduje się akurat magazyn TKKF-u, wypełniony sprzętem do nieprzystwojności. Na dodatek bracia mieli odpowiedni klucz. Można było spokojnie wejść, wybrać, przebrać i przenieść na razie na górę, aby ryzykownie nie szwendać się z nieporęcznym towarem po ulicach. Po tem wyniesie się go w bezpieczne miejsce, bez pośpiechu.

Tak więc gdy o północy śpiewano w kościele „Chrystus nam się narodził”, rodziła się też nowa grupa włamywaczy. Jej szefem został Jurek, co mu się należało nie tylko ze względu na wiek (25 lat), ale i doświadczenie: dwa wyroki, siedem lat odsiadki.

Trudno udowodnić, ile razy chłopcy wracali do magazynu i co dokładnie zrabowali, w każdym razie gromadzili atrakcyjny towar — namioty, rowery, śpiwory, dresy — i upychali po znajomych oraz po kątach. Któregoś dnia zawieruszył się gdzieś klucz, złamali więc kłódkę. Dopiero wtedy przestępstwo zostało zauważone i zarejestrowane, a chłopcy musieli przestać tam buszować, bo zrobiło się dość tłocznie.

Przedsiębiorcza banda znalazła równie łatwy i niemal bezszmerowy system zaopatrywania się w papiery i czekoladę. Wystarczyło zrobić dziurę w drzwiach od zaplecza sklepu spożywczego przy Krótkiej, a właściwie oderwać od niej łatę w postaci kawałka dyktu. Po zaprowiantowaniu się zastawiali ją skrzyniami, aby konkurencja względnie milicja niczego nie wywęszyły. Agentka chorowała cały miesiąc, więc nikt wcześniej nie zorientował się, że powoli ubyło towaru wartości 50 tysięcy; za ledwie, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że wejść było kilkanaście. Łatwiej się jednak teraz włamać do sklepu, niż znaleźć w nim coś godnego przywłaszczenia. Szczególnie gdy zainteresowania i potrzeby są sprecyzowane.

Krzysztof pasjonował się urządzeniami nagłaśniającymi i magnetofonami, natomiast obaj bracia nagle zaczęli potrzebować pieniędzy. Jako że praca stanowiła dla nich zajęcie incydentalne, żadnego legalnego źródła finansowego nie mieli. Janek szukał matczyne, a Jurek miał na ogół państwowy wikt i opierunek. Pieniądze stały się jednak nieodzowne z chwilą, gdy postanowili ruszyć w świat; wyjechać pociągami i daleko, ponieważ stało się jasne, że milicja depcze im po piętach, a nawet wyżej. Lada dzień Jurek miał stawać na rozprawie o włamanie do monopolowego, a Janekowi groziło odwieszenie półtorarocznej odsiadki, bowiem ni stąd, ni zowąd porzucił robotę, zaś fakt zatrzymania przy sobie narzędzi nie stanowił okoliczności łagodzącej, wręcz przeciwnie.

Bracia nie zadowolili się tylko po magnetofon stereo do kiosku przy Bernatowicza czy też do „Domu Książki” po magnetofon i gramofon. Usatysfakcjonowany Krzysio dzielnie im w zamian pomagał w innych przedsięwzięciach. Włamania do kościołów pogodziły interesy wszystkich: Krzysiek zawsze znalazł tam coś interesującego z radiofonii, a bracia głównie karczowali skarbonki.

Najbardziej — a właściwie jedynie — powiodło się w łomżyńskiej Katedrze. Wzięli siedem magnetofonów, wycenionych łącznie na 95 tysięcy, budzik, zegarek elektroniczny i 4 tysiące złotych gotówką, a także trzy tuziny kluczy, które mogły się zapewne kiedyś przydać, ale na razie były dość kłopotliwym towarem, podobnie jak dwa miesięczne naczynka liturgiczne ze złocymi i srebrnymi ozdobami.

— Od razu im tłumaczyłem —

złyma się Krzysztof — że to zwykły mosiądz, ale Jurek się uparł, że złoto. Te zbytki się nawet do picia nie nadawały, a towar trefny, więc wyrzucili na śmietnik. Tak samo głupio zarządził z tymi mikrofonami. Ja chciałem urządzić sobie prywatną dyskotekę, i było ugadane, że fonia to moja dola, ale się uparł. Tylko jeden mikrofon udało mi się uratować, resztę rozbabeszili, a z obudowy zrobili podłużne latarki. Chyba za 16 złotych można takie kupić. No, gdzie głowa? Jeden mikrofon, ten na japońskiej, kiedyś wart był dwadzieścia koperników, a polski — z pięć. Można było chociaż w szmal obrócić. Ale jakie tam tłumaczenie, skoro oni starsi i we dwóch.

Poza tym nie codziennie „chodzi się na kościół” i nie zawsze z takim skutkiem. W Drozdowie zostali przepłoszeni, w Piątce zdobyli jedynie wzmacniacz i budzik; łatwiej było skoczyć 5,20 w górę o desce niż wyważyć łomem solidne drzwi zakrystii. Janek miał dość tych niepowodzeń, postanowił natychmiast wracać do domu. Oddalając się słyszał jeszcze łoskot wylatującej z pobliskiego kiosku szyby. Jurek i Krzysiek „dorobili” tam 30 tysięcy, głównie pod postacią papierosów i biletów autobusowych. Chociaż ta jedna noc przyniosła blisko 50 tysięcy, żywej gotówki ciągle nie było. Budziki ofiarowali w prezencie mamusi i siostrzyzeczce, wzmacniacz Krzysiek zamienił na strychu. Nie było chętnych do spieniężenia biletów. Udało się wprawdzie sprzedać zegarek, ale w tzw. międzyczasie ktoś im buchnął magnetofon, ten z „Domu Książki”. Mieli pewne podejrzenia, ale, niestety, żadnych dowodów ani możliwości wyegzekwowania zwrotu. Nieładnie załatwiła ich też koleżanka, której dali na przechowanie pierwszą partię z TKKF-u. Przyjęła towar skwapliwie, znalazła bezpieczne schowanko w własnej babuni, po czym — równie skwapliwie — go rozprzedała. Naturalnie, nie raczyła informować chłopców o udanych transakcjach handlowych i zachowała dla siebie cały (niezły) zysk.

Na daleką wyprawę nie mieli więc bracia na razie ani gotówki, ani nawet solidnych butów. Te, które oderwali od lyżew (skradzionych) nie nadawały się do chodzenia. Do tych wszystkich tarapatów doszły miłosne. Trudno było rozstać się z dziewczyną, szczególnie Jurkowi. Jego „mała” miała dopiero 15 lat; jak samotnie znieś ciężar, a potem wychowa dziecko? Na pomoc matki-alkoholiczki nie mogła liczyć. Na wyrozumiałość ojca, który po 25 latach opuścił własne więzienie, też nie. Jurek pewnie obawiał się i o to, że dziewczyna, choć w nim zakochana, wróci do poprzedniego „opiekuna”, dojrzałego i stabilnego 50-latką.

Kłopoty zmobilizowały grupę do działania. Po przeprowadzeniu wizji lokalnych kolejnych kościołów na razie zdecydowali się na pewniejszy — zdaniem Jurka — skok.

Uznali, że ich dobra znajoma, pani Franciszka, powinna opływać w forszę. Widzieli w jej mieszkaniu solidną kasę. Nikt nie trzymałby czegoś takiego bez powodu. Tym razem łom okazał się skuteczny. Zdobyć kasę zanieśli na stadion ŁKS-u i dopiero tam ją otworzyli. Zawierała głównie dokumenty, kartki, jakieś papierzyska oraz trzy tysiące złotych. Wzięli tylko tysiąc w banknotach, bowiem w monetach nie gustują. Za ten jeden tysiąc nie opłaciło się odnosić kasę; wrzucili ją po prostu do Narwi. Wyprawa okazała się fatalnym pomysłem: zysk mizerny, a wpadka ogromna. Tydzień później wszyscy trzej zostali odnalezieni i zatrzymani.

Jurek wpadł w stan głębokiej depresji — jego kontakt ze światem został absolutnie przerwany. Leżał w szpitalu w Choroszczy. Nie reaguje na światło i dźwięk. Kiedyś, w podobnej sytuacji, cierpiał już na tę samą przypadłość, ale lekarze nie dopatrzili się wtedy choroby psychicznej. Nie pomógł nawet argument, że normalny człowiek, nawet jak się zdenerwuje, nie tłucze zaraz największych szymb „Polonezie”, a Jurek — owszem. Musiał mimo wszystko odsiedzieć dwa lata w charakterze zwykłego chuligana, a nie wyjątkowego obłąka. Janka i Krzyska odwieziono po kilku dniach przesłuchań do Białegostoku.

Gdy odwiedzałem ich dwa tygodnie później, Krzysztof nie sprawia wrażenia załamanej czy kającej się syna marnotrawnego. Wciąż przemysła to, co się stało, spekuluje, co będzie dalej.

— Mam żal do Janka, b. mówił nam: tylko pamiętajcie, nie pucować. A potem sam tak elegancko nas wypucował, bez smarowania. Bo skąd by wiedzieli, że na przykład, wzmacniacz jest u mnie na strychu? Jak była rewizja, nie znaleźli przecież. Przypomnieli go sobie dopiero po gadce z Jurkiem. Ja niczego nie brałem na handel, z chęci zysku. Chciałem tylko dyskotekę założyć, bo w Łomży nie ma i zdobyć sprzęt turystyczny na wakacje. A nie kupiłbym przecież, bo niby gdzie? Pieniądzy, szczerze mówiąc, nie potrzebowałem. Zawsze je miałem; takie stypendium od matki. TKKF teraz chce się na nas przewieźć, bo myśmy trochę im ten sprzęt uszczuplili, fakt, ale to, co oni tam wypisali, na ciężarówkę chyba trzeba byłoby ładować. Sami okradli firmę, a teraz jest okazja na nas zwalić. Ale nie da rady. My i bez tego nieźle zarobimy.

Myślę, że grozi mi ósemka, a po cichu liczę, że może na piątce się skończy. Powinni uwzględnić młody wiek: mam dopiero osiemnaście lat i nie jestem recydywa. Jak wyjdę, będę jeszcze zupełnie młody, życie przede mną. Tu dorobię zawodówkę, a może nawet technikum, bo nauka całkiem dobrze mi ostatnio szła. W podstawówce raczej średnio było; w szóstej klasie za dużo wagarowałem i usadzili mnie. Po siódmej przeniosłem się do siostry w Steżycy; to w Lubelskiem. Jak skrańcowałem podstawówkę, przyleciał mnie do mechanicznej w Dęblinie. Ale w drugim roku zmęczyłem się wyjazdami i nie dorobiłem klasy. Wróciłem do Łomży, do zawodówki.

Chyba źle zaczęło się u nas dziać, wtedy jak umarł ojciec, w siedemdziesiątym szóstym czy siódmym. Potem zmarł młodszy brat; za dużo pił. A starszy czeka w tym zakładzie na rozprawę. Ma gorzej niż ja: odpowiada z § 210. Jak pani zobaczy matkę, niech jej powie, że wysłałem talony (jeden jest higieniczny) i niech coś szykuje. Małgośka ma się starać u prokuratora o widzenie, a Janek niech się trzyma twardo. Gdyby ktoś z kumpi chciał zrobić jakiś włam, radziłbym, żeby (jeśli może) się wstrzymał, aż odwołają stan wojenny, bo teraz od razu się od trójki startuje.

Ruchliwy, inteligentny chłopak. Jednak gdy pytam go, dlaczego właściwie zdecydował się zafajdować sobie młodość, a może i całe życie, potrafi jedynie powiedzieć, że była to zabawa, fajna przygoda. Nad jej — mniej fajnym — końcem jeszcze nie ubolewa.

Janek jest wyraźnie przygaszony. Żyje beznadzieją dnia więziennego i najgorszymi obawami. Może dlatego czuje potrzebę usprawiedliwienia się — choćby tylko przed samym sobą: — Nie wiem, jak to się stało, że się tak wciągnąłem. Nie mogłem ostatnio nigdzie znaleźć pracy. Prywatni nie mieli funduszu, nie mogli przyjąć. Trochę robiłem w tartaku, ale było mi za ciężko; mam niedowagę, chyba nawet dlatego wojsko mi odrzucili. Rzuciłem tę robotę. To była największa głupota, bo przepadło mi odwieszenie. Nie wyobrażałem sobie spokojnego pójścia do kryminału tylko dlatego, że nie miałem odpowiedniej pracy.

Myślę, że jak się raz pójdzie na włamanie, to potem nie ma odwrotu. Ciągnie jak narkotyk. Człowiek nie śpi, denerwuje się, ale idzie. Gdy łamię kłódkę czy drzwi, jeszcze się trzęsę, ale już w środku wszystko przechodzi, pełny luz. Później całkiem zapominam, zupełnie nie myślę o tym, co zrobiłem. Teraz przemyslałem wszystko od początku, ale już jest za późno. Nie czuję żalu do nikogo, jedynie do siebie samego. Mam swój rozum, dość silną wolę. Gdybym nie chciał, nie poszedłbym. Brat mnie nie wciągał, nie uczył, bo jak tylko dorósł, zaczął odsiadki i nigdy go w domu nie było. Mówił, że do pudła idzie jak do siebie. Więzienia są dla wszystkich i widocznie można się przyzwyczaić. Ale teraz okropnie nie chciał iść. Ma dziewczynę. Spodziewają się dziecka. Gdybym ja miał, jak on, dla kogo żyć, ustatkowałbym się. Zresztą już miałem taki zamiar. Też znalazłem dziewczynę. Ona o niczym nie wiedziała. Nie wiem, co teraz myślę, co robi. Nie mam jej nic do powiedzenia.

Ja już chyba nie mam szansy na życie. Nie wiem, co będzie ze mną. Nawet jak się nie załamie i przepędzę te osiem lat w kryminale, gdzie później pójdę? Z Łomży nigdzie nie wyjadę. Już próbowałem, ledwo wytrzymałem tydzień. Nie wiem, co ta Łomża ma w sobie takiego. Może to, że tu się urodziłem, że każdy kamień jest mój? Napisałem do matki list i świąteczną kartkę. Jak nie odpisze, więcej ani pisać, ani wracać do niej nie będę. Lubię mamę i szanuję, ale nic od niej nie chcę. Tata wróci w czerwcu. Chyba pięć lat w OPS odsiedział za chuligaństwo, mamusi pobicie i takie tam inne.

Chciałbym, żeby ta rozprawa odbyła się jak najprędzej i żeby mnie gdzieś wywieźli, dali jakieś zajęcie. Nie mogę patrzeć wciąż na te ściany, na tych samych gości. Nie mogę tu myśleć ani oddychać. Nie wolno człowieka tak zatrasnąć w klatce. Przecież on na wolności też się namęczy z życiem...

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY



obyczaje



Wnuku Wincentym (bohater życzy sobie właśnie takiej kolejności: najpierw nazwisko, potem imię), zamieszkałym w Rudnie: — Księga i encyklopedia — to druga żona.

- Degenerat pazerny na pieniądze — pierwsza żona.
- Ojciec — słowa syna.
- Pieniacz — dawny naczelnik gminy.
- Mądry i zapobiegliwy — to działacz ZSL-u.
- Można na nim polegać — pierwszy i drugi sąsiad (chórem).

Chałupa jakich dziś mało: drewniana, kryta grubo słomą, w kolorze siwa. Okienka maleńkie. Na belce pod stropem napis: „W imię Boże Jego Nieśmiertelne Anno Domini 1811”. Dawnym zwyczajem — dwie izby. Jedna kuchenna, z okapionym piecem, druga paradna, ale niezwykle żywa, zamieszkała. I zdumienie przybysza: ściany szczelnie obłożone książkami, papierami, mapami. Aż po powale. A na powale malowane oczy. Tysiące oczu w skomplikowanych floresach. Sufit niepokojący, lepiej nie patrzeć. Na podłodze barwne chodniczki. W kącie wolterowski fotel. Wnuk Wincenty zdecydowanie odstaje od tego wnętrza sylwetką — pochylony, z grubymi łapskami, z mową toporną, w przyodziewku zbrukanym. A tu książki, ten fotel, ta skomplikowana charakterystyka! Trudno wszystko zlepić do kupy.

Podwieczor. Jeszcze końcówka obowiązków: dojenie krów, przygotowywanie narzędzi na dzień następny. A potem do izby wchodzi żwawy pięćdziesięciolatek, ogolony świeżo, w swetrze z golfem, w tek-sasach. Później miska pierogów i bimber palący jak piekło. I Wnukowa Anna, żona i właścicielka dwunastu hektarów. Bo Wnuczyny te hektary, tylko jej, spadkowe amerykańskie.

Dramat Wnuka: chciał być następcą, ale nie jemu ojciec morgi przeznaczył, a starszemu, Janowi, co — jak zapis dostał — pozbył się ziemi szybko i głupio: za tanio, byle komu. Wincentemu została chałupa ze splachiem mizernym i niechętnym do rodzenia. I nie dość na tym — żona odeszła z innym, normalnym chłopem, a tego dziwacznię, Wincentego, zostawiła. Zostawiła i syna, „przyglupia”, jak mówią we wsi, schizofrenka po prostu. To właśnie jego malowanie, ten sufit w oczy. Wnuk rozwód nawet chętnie dał i wziął drugą kobietę, też Annę, ale tylko imiona się zgadzają. Bo Anna druga czyta, Anna się interesuje, Anna ROZUMUJE. A on WIE, że krzywdą, że wyzysk, że łapówki, że niedostatek, że ludzie na stanowiskach nie dobrani. Co lepiej: wie — DLACZEGO. Wnuk wie także, iż rolnicza przyszłość Polski to żadne PGR-y ani spółdzielnie produkcyjne, tylko gospodarstwa indywidualne. Chłop polski — specyficzny typ człowieka. Ludzi o takiej mentalności nigdzie w świecie. Łapczywe kochanie ziemi, pazerność na każdą jej pędz. I jak PGR-y, źle prowadzone, dotowane, mogą wygrać z takim chłopem? Z „Małej encyklopedii” PWN, wydanej w 1959 roku, Wnuk czyta: „Jakkolwiek gł. wysiłki polityki gosp. skierowane są na wzrost uprzemysłowienia, rolnictwo nadal odgrywa w gospodarce polskiej ważną rolę. [...] w warunkach polskich główną drogę wzrostu produkcji rolnictwa stanowi jego intensyfikacja; intensywność rolnictwa jest w Polsce obecnie b. niska, a to wskutek ogólnie niskiego poziomu rozwoju sił wytwórczych kraju; czynnikiem hamującym rozwój rolnictwa jest także rozdrobnienie gospodarki rolnej, które może być przezwyciężone jedynie w drodze zasadniczej socjalist. przebudowy struktury społ.-ekon. rolnictwa; jednakże słuszny w zasadzie program uspołdzielczenia wsi został w okre-

Dramat dziwaczny Wnuka ▲ Kolejne bicie w piersi ▲ Odwaga Wincentego ▲ Teoria mocnej wsi ▲ Historia wolterowskiego fotela ▲ Warcholstwo brata Jana ▲ Dwie Anny ▲ Polyczki o wolność człowieka ▲ Z kim się Wincenty solidaryzuje i jak mu się widzi odnowa ▲ Nadzieja w zwycięstwie mądrego.

planu 6-letniego wypaczony na skutek nadmiernego forsowania spółdzielczości prod., co spowodowało m.in. ograniczenie zainteresowania indw. gospodarstw wzrostem produkcji, hamując postępowanie rolnictwa w tym okresie; okres planu 5-letniego charakteryzuje przyspieszenie procesów intensyfikacji rolnictwa i wzrostu jego towarowości [...]”.

No i już wtedy, w roku 1959, było bicie w piersi, aczkolwiek „słuszny był proces uspołdzielczania wsi”. I co bicie w piersi dało? Nic nie dało. Wnuk bardzo nie chciałby, aby kolejne bicie w piersi (to znaczy — obecne) też nie zmieniło. Choć zdenerwowany, przyglądał się dramatycznemu przebiegowi strajków chłopskich do momentu rejestracji NSZZ RI „Solidarność”. Odetchnął. Może nadejdzie lepsze?

Ale do „Solidarności” się nie zapisał. We wsi myśleli: będzie pres. Za wcześnie myśleli. Męża za kilka miesięcy. Jak się wszystko przekotuje, uładzi, usensowni. Nie,

Wnuk Wincenty dosyć się więc ponarzął w ostatnim czasie. Teraz czeka. Bo dziś wszyscy odważni, a każdy naiadowany żółcią po brzegi. Oczywiście, Wnuk rozumie ludzką gorycz, ale nie lubi tchórzostwa. W Rudnie też. Co z tego, że Wincenty gadał prosto z mostu? Ewentualnie korzyść osiągał tylko on. Baty brał również, a jakże. Ale nie jojechał i nie skomlał, robił swoje dalej. Miał przydział, ale ciągnik był wyłącznie na papierze. Więc na co czekać? Samemu trzeba kombinować. Pewnie, pomyszkować kłopot, ale jak chce, to się znajdzie. Tu stary silnik dieslowski, tam kilka rur i kawałków blachy, gdzie indziej koło i dętka. Wyszedł miesamowity dziwag. Ludzie za brzuchy się łapali ze śmiechu. Przestali, kiedy zobaczyli, jak pracuje. Potem w ślady Wnuka poszli następni. Dzisiaj parę dziwa-del wyjeżdża w pole, a tamci, co talonom zawierzili, nadal czekają.



to nie asekuranctwo. Wnuk po prostu lubi robotę, nie znosi żadnego mielenia ozorami na niezliczonych zebraniach. On, taki odważny, przełaził się „Solidarności” — kpią we wsi. Pewnie że odważny. Ale głównie w robocie. A jak potrzeba, to w mowie także. Wnuk liczy na palcach:

1. Kto powiedział, że przestaje oddawać mleko do zlewni, dopóki nie zrobią z tego zagnojonego miejsca lśniącego od czystości pomieszczenia?
2. Kto na wiejskim zebraniu zaprotestował, że zbyt wiele pieniędzy z wkładów na Fundusz Rozwoju Rolnictwa idzie na potrzeby administracji?
3. Kto skrytykował publicznie nieruchawość Kółka Rolniczego i Państwowego Ośrodka Maszynowego?
4. Kto oświadczył, że naczelnik bierze łapówki, i dał konkretne przykłady?
5. Kto twierdził, że od BEZMYŚLNEGO PLANOWANIA lepsze jest PLANOWE MYŚLENIE?

Mówią, że nie jest w „Solidarności”, więc przeciw wsi. Nieprawda. Zawsze uważał, że wieś powinna być mocna, to znaczy — zjednoczona, licząca się. Mocna wieś, to wieś bogata, nie krzywdzona, dostrzegana. Jak powtarzał swoje credo za Gomułki, potem za Gierka, wyzywał od „mikołajczyków”. Może i herezje głosił, ale czy w końcu na jego nie wyszło? Proszę — w najnowszej „Encyklopedii” PWN, wydanej w roku 1975, pisać o rolnictwie: „Po XV Plenum KC PZPR poświęconym problemom żywienia i rolnictwa, podkreślano, że nadrzędnym zadaniem polityki rolnej partii wypracowanej przy udziale ZSL, jest zapewnienie systematycznego wzrostu produkcji rolnej i przemian społecznych w rolnictwie w kierunku socjalistycznym. Partia wychodzi z realnej istniejącej sytuacji w rolnictwie i zmierza do uruchomienia wszystkich rezerw, wzrostu produkcji rolnej, dalszego postępu spo-

łecznej i technicznej rekonstrukcji rolnictwa oraz poprawy warunków życia rolników i pracowników rolnictwa”. I kilka linijek dalej: „Program poprawy żywienia ludności Polski i rozwoju rolnictwa przyjęty przez XV Plenum KC PZPR... że ściśle szybki wzrost produkcji rolnej — który będzie w coraz większym stopniu wymagal przekształceń struktur rolnych w rolnictwie — ze sprawą stopniowych przeobrażeń społecznych na wsi. Do stosowanych obecnie form działalności zmierzających do uspołecznienia pracy w rolnictwie należą: przejście wanie i zagospodarowywanie, głośnie przez PGR-y i kółka rolnicze gruntów przekazywanych państwu przez starszych rolników w zamian za rentę starczą; kooperacja PGR-ów i rolniczych spółdzielni produkcyjnych z gospodarstwami chłopskimi (zapożyczkowana w 1971 roku) [...]”.

Rudno — wioseczka kilkanaście numerów. Emigracja wzbogaciła każde gospodarstwo po kilka hektarów. Głównie jęczmień i owies. Tęchę łąki i dwa „specjały” (niedogizm na użytek Rudna), hodując krowy. Kółko rolnicze i GS w tej średniej wsi. No i odwieczne problemy: zła droga, do szkoły gminnej pięć kilometrów, zaopatrzenie — żał się Boże, jeden sklepik, kłopot „Ruchu”. I kościół. Piękny, a w nim piękne rzeźby znanego artysty. Książki postępowe. Nawet Marksa czyta. Lubi powtarzać, że materializm trzeba zwalczać jego własnymi słabościami.

Książki o Wnuku mówi dobrze, mądry, rozważny, nie urządza awantur. Odmienne chałupa też przysprza mu popularności. Nikt nie rozumie, dlaczego Wnuk nie wyświ sobie jednopiętrowca z cegielnią, z łazienką, z gazem. Przecież niebiedny; że też się nie wstydy tak żyć? Wnuka te pretensje śmieszą. On ma ochoty mieszkać w potworkom tej bryle, identycznie jak inni. Czym się różni dom Kluka Kazimierza od jednopiętrowca Maniewskiego Waldemara? Niczym. Wnuk dom stary i piękny. Jest INNY. Najgorzej być takim samym, jak pozostałi. Za kilka już lat architekci zacmokają na widok Wnukowej skansenu. W obejściu i obora studnia z żurawiem i wiekowa doła. Plot też swoje pamięta.

Wolterowski fotel? Dziad, dom, rosły myśliciel, ukochał francuskiego filozofa, to zresztą jego dzieła zapoczątkowały bujny księgozbiór. Kiedyś zubożała dziedziczka dla niego pozbywała się sprzątu. Dziad usłyszawszy przymiot „wolterowski”, weisnął osłupiałemu nie niewiarygodną, jak na jego wiek, kwotę i szybko zabrał mabel. Babka ze złości nie gotowała obiadów przez kilka tygodni. Skłamała — miała być krowa i dziad zumał gniew żony. Przebaczył, kiedy umierał w swoim fotelu... Wincentego skończył trzy lata sy powszechnej. Więcej nie mógł, bieda zmuszała do pracy. Reszta uczął się między gospodarskimi obowiązkami. Kupował książki, najpierw jak popadło, potem już kłopot obracał długo w rękach. Zajął się go filozofia. Zwłaszcza Marksa i Lenina. Porównywał teorię do praktyki. Jakoś nie szło. Gdy naciskał z jednej strony, z drugiej robiło przykrótko. Ale na rozważania i brakło czasu — dziad gnał w pole, własne też czekało. Niewiele go: dwie i pół morgi. Wojna omiła Wnuków; ojciec Wincentego chorował na płucach.

Wincenty rodził się w kulię tosa, stąd imię. Starszy brat, J...





mocno usadowił się w ojcowskim sercu, Wincentego ojcowe oczy ledwie zauważały. A mały szedł jego drogą — uczył się jak szalony, aż robotę domową zaniedbywał. Ojciec lał tego i bez skutku. Za to Jan warcholił bez pamięci. Rodzice odsuwali prawdę od siebie, że z Jana nie wyrósł. Jan, nadmuchany pychą sobiepan i elegancik, nareszcie starym się odplacił: sprzedał zapis — pięć morgów ustawicznych nakładów, troski i szczęścia. Przepuścił majątek i przyszłość. Ojciec nie mógł mówić. Przycupywał na „wolverze” i zagłębiał się w książce. Już nie było ważnych rzeczy. Ani śmierć żony, ani ożenek młodszego syna.

Anna dała Wincentemu mądrość łózkową i niczego więcej. Urodził się syn. Chory. „Głupek”, „ladaco” — mówiła o własnym dziecku. Kiedyś wyszła z domu i nie wróciła. Innego znalazła parę wiosek dalej. Potem Wincenty spotkał drugą Annę. Szczęście. Domowe i zawodowe. Bo przecież, owszem, Wincenty książki kochał, rozmowy z inteligentniejszymi od siebie także, jednak ziemia pociągała najsilniej. Anna wniosła w posagu jedenaście hektarów... Dorobek? Wincenty najważniejsze spisuje na kartce:

1. uległa i hojna gleba,
 2. cokolwiek rzec, mir we wsi,
 3. żona, matka dla syna,
 4. syn chory, ale artysta (pięć obrazków Amerykańcy kupili),
 5. zasobny księgozbiór,
 6. zasobne obejście
- oraz — chociaż to nie dorobek —
7. własne zdanie na każdy temat.

Dużo czy mało? Tak i nie. Mogłoby być lepiej. Ale czyż to nie bezrozumna pazerność dyktuje „więcej”? Najbardziej cieszy Wincentego punkt siódmy. Nigdy nikt nie potrafił Wnukiem manipulować. On potrafi własne przekonania głosić niewinnie. Bez względu na okoliczności. Bo tylko wtedy człowiek jest naprawdę wolny.

Rzecz jasna, kłopoty znajdowały się zawsze. Więc kuszono spółdzielnią produkcyjną. A on najmniej narzył właśnie o czymś takim. Grono, proszono, od kulaków wyzywano. Właśnie od tego czasu zaczęły się urzędnicze szykany, starcia z promadzkimi, potem gminnymi władzami, z szefem służby rolnej, z sołtysiem, z sąsiadami. Czyli normalnie jak wszędzie. Chociaż może jednak nie? On nikomu nie czapkował, nie wdzięczzył się, nie wsuwał koperników. On dobrze wiedział, o mu się prawnie należało, a co nie. Najpierw go nie doceniano, ułgowano lekceważyć jego prośby. Czekal pod drzwiami cierpliwie raz, drugi. Za trzecim wszedł do środka zagrmocił pięścią w stół. Złatwiono go pozytywnie. Potem znalazł lepszy sposób. Zaczynał od stosownego w danym momencie cytatu i pytał, czy urzędnik wie, z czego ten cytata. Urzędnik, rzecz jasna, nie wiedział. Wtedy Wnuk uprzejmie wyjaśniał i już miał biuralistę na szlaku. Wnuk przytaczał fragmenty przemówień aktualnych promiśnów (— Boże, odpusć!). Wincenty nał się na rolnictwie, doskonale wiał więc fałsz wielkich słów i cyfr. rochę nieładnie postępował, cytując, na przykład, ministra Rolnictwa albo Pierwszego. Pocięczał się, że dzięki swej demagogii pomaga rolnictwu, choćby w malusieńkim wymiarze — na własnym polu. Z rzędów wracał zawsze zwycięski. Jedni go za to nienawidzili, inni podziwiali. Jedni opluwali, inni pyłili o radę.

Czy mu zależy, aby go lubiano? On nie wie. W zasadzie towarzyski gdy nie był, do knajpy nie chodził. Żyje blisko z trzema, czterema gospodarzami. Z piątym przyjaźnił się do stycznia. W styczniu Karcewski Władysław jak w dym poszedł „Solidarność” i prosił, przekonywał, zachęcał Wnuka. Zachęcał, przeonywał i prosił Karcewskiego Wnuka: że jeszcze nie całkiem wszystko rozumie, że musi przemyśleć, przygotować się. Wtedy Karcewski

z grubej rury: asekurant, łamistraj, konserwa, tchórz! Na to Wnuk grzecznie poprosił, żeby Karcewski opuścił jego dom. Karcewski jeszcze krzyknął: „A myśmy, kutasie, myśleli, że prezesem będziesz, lecz ty głównym będziesz!” I tak skończyła się zażyłość z Karcewskim Władysławem.

Przy okazji Wnuk umocnił swój pogląd — musi wiedzieć, z kim się „solidaryzuje”, bo z byle kim nie chce. Sąsiedzi opowiadają, co się dzieje na zebraniach. Dużo pada rozsądnych postulatów. Trzeba się o nie bić. Z całym sercem. Ale są też żądania wręcz głupie i groźne dla obecnej sytuacji. No bo jak można uznać za postulat żądanie Maniewskiego Waldemara, by Kunowski Franciszek, jego sąsiad, oddał mu kawałek miedzy? Chleba brakuje, narzędzi też, nawozy zle albo za mało, szkoła pięć kilometrów od wsi, a ten wyjeżdża ze swoją miedzą! Znowu Burak Jan dopytuje się o eternit na swój dach. Należy mu się, ale przecież ważniejsze, by zrobić wreszcie porządek z kółkiem rolniczym, z biurokracją w Urzędzie Gminnym. Czy Wnuk rozumuje źle? Chyba nie. On pragnie, by „Solidarność” złatwiła najpierw sprawy ważne dla wszystkich, a potem dopiero jednostkowe. Czyli widzi „Solidarność” rozumną i rozsądną. Kiedy taka się stanie, podpisze deklarację.



Partia? We wsi było czterech partyjnych. Najgorsi gospodarze w Rudnie... Liczyli, że przynależność ukryje ich niedołęność. I ukrywała. Więc Wnuk nie miał ochoty stać w tym samym szeregu, co oni. Nasłuchiwał się Wnuk od pierwszego gminnego sporu, że w miejscowej organizacji wiejskiej świeciłby przykładem. „Ja im już i tak świecę” — uciał Wnuk. I tamci od razu obrażeni. Najwięcej pierwszy gminny. Wincenty przetrzymał. Niedawno dwóch usunięto z organizacji, trzeci sam złożył rezygnację. Pewnie są przekonani, że Wnuk triumfuje. Nie podobnego. Tylko smutno i wstyd.

Odnowa, rzecz bardzo, ale to bardzo ważna! Ale Wnuk znowu ma wątpliwości. Jemu się widzi, że to odnowa raczej z małej litery. A powinna być ODNOWA. Przecież Wincenty ogląda telewizję. Gazety czytuje. I dopasowuje, jak niegdyś ojciec, rzeczywistość do wystąpień władzy i rzeczywistość do ludzi małych, nieważnych. I znów, jak ojcu,

nie wychodzi. Ta pierwsza rzeczywistość nie zgadza się z drugą. I mętlik w głowie gotowy. Oczywiście, poglądy muszą się trzeć nawzajem, odrzucać plewy, żeby zostało najzdrowsze ziarno. Jak w rolnictwie. Tylko dlaczego „góra” jednego dnia przedstawia całkiem inaczej problem niż wczoraj i przedwczoraj? To niepoważne. Podważające autorytety. A może gra celowa? Wnuk żałuje, że nie ma kontaktów z robotnikami. Obiecuje sobie konfrontację swoich spostrzeżeń ze znajomymi mechanikami. Ale czas nie pozwala. Teraz lato i ręce pełne roboty. I kłopoty — tego nie ma, tamtego brakuje, czegoś nie dowiedzieli. Tak pięknie redaktorzy mówią w telewizji o rolnictwie i z taką troską! Wnuk pragnie: niechże panowie redaktorzy posiedzą na wsi cztery, pięć dni. Przyjdzie taki na pół godziny i potem plecie androny, aż przykro słuchać.

Teza Wnuka: INDYWIDUALNI ROLNICY POTRAFIĄ WYŻYWIĆ CAŁY KRAJ. To najprawdziwsza prawda. Ale sytuacja może nie ulec zmianie, jeśli nie nastąpi rozsądny podział czynności dotyczących rolnictwa pomiędzy wszystkie centralne przedsiębiorstwa i urzędy zajmujące się tą dziedziną gospodarki, jeśli nie skończy się wydawanie sprzecznych ustaw i uchwał, jeśli nadal kwestie rolnictwa będą złatwiane przy pomocy słowotoku.

Nachodzą nas ostatnio żołądkowcy wszelkiej maści i sykają z złością: „Dlaczego, na Belfegora, nie kupisz w Łomży kromki zwykłego razowca? Pomóżcie!” Prosimy więc odpowiednie czynniki, by przekazały młynarzom, iż popuszczenie śruby w żarnach nie nosi znamion wrogiej działalności przeciwko ogólnie obowiązującej zasadzie.

W kawiarni „Bona” w Łomży podaje się z kawą — zamiast łyżeczki do cukru — maleńkie widelczyki. W ten sposób skończyło się niekulturalne dziamdziejanie fusów, a i o wtórny odzysk surowca łatwiej.

W Krzyżewie ludzie łamią sobie zęby na starym, twardym, czerstwym chlebie „Maie in GS”. Gdyby działa się tak na Sycylii, przyczyna byłaby jasna: mafioso G(ary) S(contio) napędza klienta bandycie Dentisto. No, u nas, wicie-rozumicie, przyczyny też som. Ale obiektywnie!

Na X Sesji WRN w Łomży, w czasie wystąpienia wojewody ze sprawozdaniem o realizacji ubiegłorocznych zamierzeń, kilku radnych — na czele z byłym wiceprzewodniczącym — opuściło jawnie. Śniła im się rzeczka mleczka obok szklanego domeczka. Oczywiście, sprawiedliwie: dla każdego mieszkańca województwa!

Znaczek o najwyższej wartości, jakim dysponuje poczta w Łomży, kosztuje 6 złotych 50 groszy. Opłata za list do USA wynosi złotych 40. Niedługo, chcąc pomieścić adres i nie dziadować w stylu „Opłaci adresat”, będziemy musieli wysyłać zagraniczne listy w workach po cementcie.

W Ratowie-Piotrowie wzniecono społecznym wysiłkiem wiejski klub. Do uroczystego przecięcia brakuje jedynie toalety, ściślej mówiąc: klozetu. Rozumiemy władze, że taka impreza to nie tyle pół litra, ale już się zieleni i z pawiem można skoczyć w krzaki.

Piękna droga z Łomży do Kolna urywa się nagle w historycznym momencie ogólnopolskiej inauguracji roku szkolnego, czyli w Matym Płocku. Dalej-bez jobów — spowiadają się kierowcy — ani rusz. My zaś odcinamy się od manii niszczenia betonem i asfaltem najpiękniejszych skrawków ojczystej ziemi i otwieramy od dziś na całym odcinku „Muzeum Szos Dynamicznego Rozkroku”. P.S. Podajemy objazd do Kolna: Ostrołęka, Kadzidło, Myszyńiec, Dęby.

Przez całą noc i niedzielę wyl pod naporem wiatru sygnał alarmowy, zainstalowany w fiacie, którym się nikt nie interesował. Mógł to być jedyny przypadek, kiedy wszyscy mieszkańcy ulicy Prusa w Łomży złożyliby się na mszę dziękczynną za duszę złodzieja.

Na budynku numer 13 w Łomży zacięła się biurokratyczna maszynka do oddawania domów. Jak wieść osiedlowa niesie — trzynastkę, czternastkę i piętnastkę wykończyli na ochotnika specjaliści ze Spółdzielni Mieszkaniowej. Wykonczyli psychicznie członków oczekujących cierpliwie na własne M-ileś. Morał: gdy dwóch szpanuje, trzeci nie powinien decydować, który jest lepszy, chyba że się zna na budowie... muskułów.

MONIKA WYSOGLĄD
Fot. GABOR LÖRINCZY

Reportaż nagrodzony w konkursie „Boryna 81”, zorganizowanym przez „Kontakt” i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, a rozstrzygniętym w listopadzie 1981 r.



ZYCIE TOWARZYSKIE

Pieska pogoda. Nie wiem do-
prawdy, komu służy utrzyma-
wanie takiego zimna i deszczu
ze śniegiem. Mnie w każdym razie
nie bardzo, a i pani, która ostrze-
gała przez telefon, zachrypla jakby.
Chodziła widocznie, biedulka, w
przemoczonych butach albo bez pa-
rasola. Choć trzeba powiedzieć bez-
stronnie, że parasole pojawiły się
na powrót w sprzedaży, w przeci-
wieństwie do butów zresztą. Szyje
je pracownia kołder; nie wiem tyl-
ko, czy grzeją tak samo? Cena w
każdym razie zbliżona. Chwilowo nie
kupiłem, gdyż odkładam na buty.
A parasol może już za miesiąc nie
będzie potrzebny.

Na razie przemierzam miasto w
szmaciakach i obserwuję, jak wszyst-
ko dookoła rośnie. A najbardziej ce-
ny. Na Bojarach np., pośrodku ba-
jora, stoi budka z kwiatami. Rzadki
to widok, by towar, zresztą este-
tycznie wykonany przez naturę, cze-
kał nadaremnie na klientów. Jakoś
nikt się nie przepycha, by kupić —
dajmy na to — tuzin astromerii po
trzysta złotych od pączka. Nawet na
Jerzego, kiedy zabrakło podniejszych
gatunków, arystokracja kwiatowa
stała niewzruszona za szybami, ku-
sząc oczy wspaniałością. Nim przy-
jdą inni święci — sparcieje, jak

kwiaty nie idą

wszystko na tym świecie, wcze-
śniej czy później, cena jednak nie
drgnie... Jedyne, co idzie bez wzglę-
du na imieniny, to ziemia. Ostatecz-
nie nie święci garnki lepia i mimo
zimnych kaloryferów, jak też defi-
cytu słońca, każdy wiosnę może
mieć w pokoju. Jeden rolniczą, dru-
gi ogrodniczą, trzeba jednak nastaw-
iać się na samowystarczalność. Takie
warunki.

— To nonsens, żeby wszystko dro-
żało trzykrotnie — powiedziała pa-
ni C., księgowa z długim stażem,
zdaje się, że w spółdzielczości. —
Tego rodzaju proceder — ciągnęła,
nie licząc się zbytnio ze słowami,
choć na herbatce z dzikiej róży to-
warzystwo było mieszane — może
tylko utrwalić wadliwe relacje cen.
W ten sposób reformę diabli weź-
mą.

— Nie wszystko zdrożało, droga
pani — starałem się załagodzić nie-
przyjemne wrażenie, jakie wywodził
księgowy, nie poparty żadnymi do-
wodami, mógł wyrzucić na obec-
nych.

— A co, na przykład?! — prychnęła
gniewnie.

Przesuwałem w myślach różne
metki i kwitariusze, skonfundowa-
ny lekko, ale przychodziło mi do
głowy tylko stare powiedzenie San-

dauera, że odwaga staniała. Też nie
bardzo, ale nie jestem w końcu bu-
chaltem.

— Telefon! — wyrzuciłem nagle
z triumfem.

— Akurat — rozpiekliła się na
dobrze. — Niech pan w takim razie,
łaskawko, obejrzy rachunek za osta-
tni miesiąc.

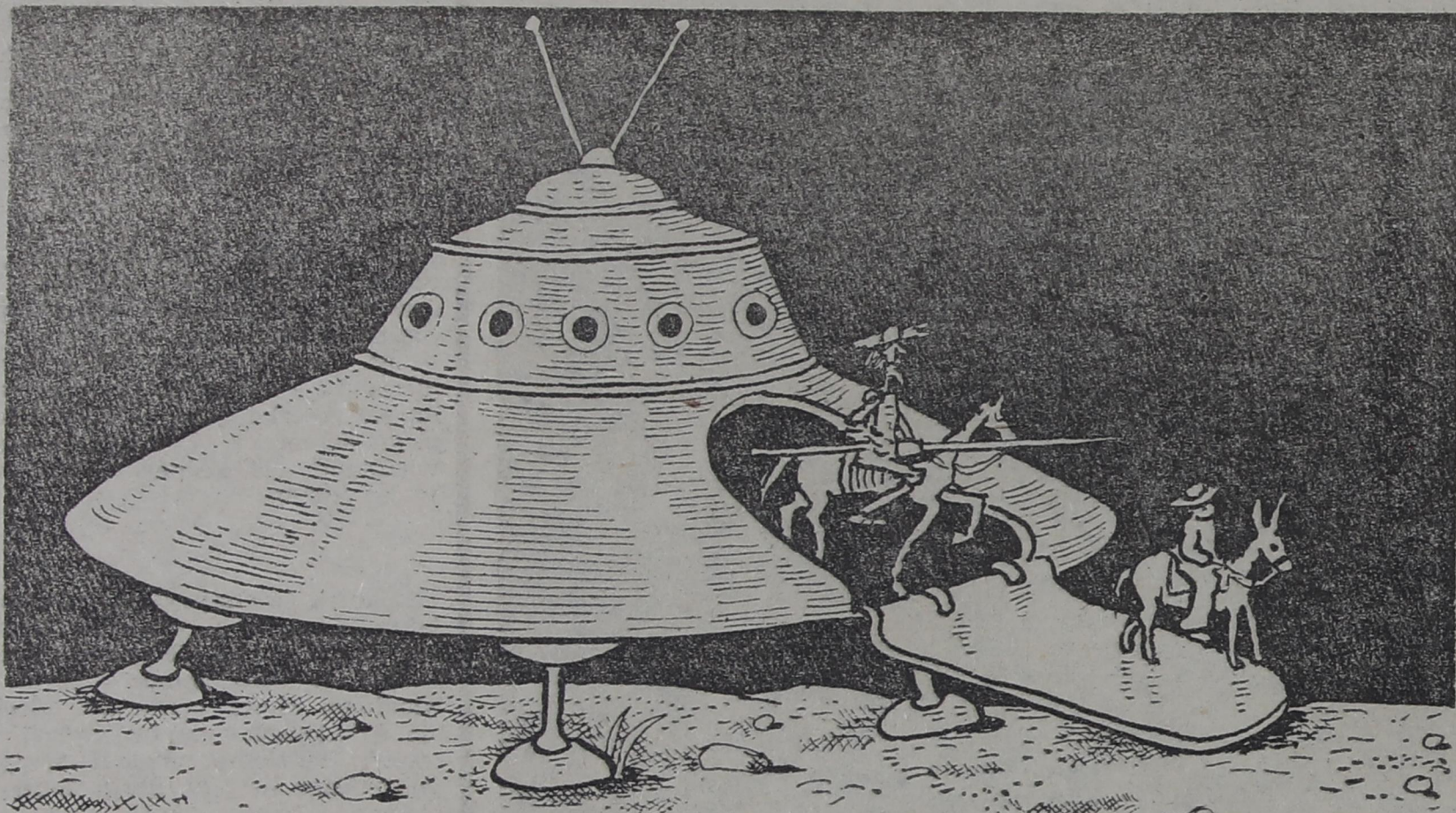
— Sam czytałem w prasie, że te-
lefony podrożeją dopiero w drugim
półroczu. Minister poczty to mówił...
— ciągnęłam niepewnie, klnąc w
duchu towarzystwo, które nie przy-
chodziło mi z odsieczą. Dałem wo-
bec tego za wygraną i wyszedłem
do sąsiedniego pokoju; rachunek za
rozmowy był rzeczywiście wyższy.

— Panie, z panem nie można nor-
malnie. Pan jesteś łatwowierny jak
dziecko — triumfowała księgowa.

— Jest jeszcze coś, co nie droże-
je: praca ludzka — mruknąłem, choć
bez przekonania.

Postanowiłem zadzwonić do Fe-
deracji Konsumentów, aby rzecz ca-
łą wyjaśnić. Pani, która mnie o-
strzegła, znowu miała czysty, przy-
jemny głos. Zastanowiło mnie to
na dłuższą chwilę, a później mach-
nąłem ręką na marnych parę zło-
tych. Ostatecznie człowiek ma tak
niewiele radości, rzadko która ko-
bieta troszczy się o niego. Pal sześć
buty, jutro kupię jej astromerie.

JAN KWASOWSKI



Rys. Andrzeja Podulki

oddech wiosny

Po tak długim milczeniu po-
winna podsumować łomżyń-
ską zimą: była spokojna i
śnieżna. Jeżeli w Łomży czegoś na-
prawdę nie brakowało, to śniegu
właśnie. Łomżyniacy nie mają zwy-
czaju usuwania go z ulic i traktują
tak, jak Murzyni słońce: jest to
coś tak naturalnego i potężnego, że
nawet jeśli bardzo dokucza, wal-
czyć z tym nie sposób.

Niecierpliwie wyglądana wiosna
bezlitośnie demaskuje wcześniejsze
zaniedbania. Brud straszy nie tyl-
ko w zapomnianych zaułkach, przy
starych ruderach. Najgorzej, że zły
przykład idzie z góry — chyba naj-
większy bałagan panuje wokół Ur-
zędu Wojewódzkiego. Mam nad-
zieję, że nieporządku zlikwiduje
bardzo wpływowa komisja do walki
z wszelkim śmieciem.

Obserwuję jej zmagania, bo spa-
ceruję ostatnio wiele, nie z własnej
woli zresztą, lecz z polecenia le-
karza. Stwierdził, że najlepszym le-
kiem dla „homo ledwo sapiens” jest
świeże powietrze. Medykament sku-
teczny, bezpłatny i, póki co, łatwo
osiągalny — jakimś cudem nie wy-
maga wsadu dewizowego. Te pro-
menady zbawiennie wpływają na
mój system nerwowy: to, co kiedyś
doprowadziłoby mnie do szału, te-
raz kwituję śmiechem. Gdy władze
łomżyńskie wyznaczyły ogólnowo-
jewódzką normę rocznego zużycia
obuwia na poziomie jednej pary
rocznie, wychodziłam z siebie. Po-
tem jednak pozwoliłam się spokoj-
nie torturować przez kilka godzin
dzikiemu tłumowi przed sklepem.
Jakiś przypadkowy manewr gawie-
dzi sprawił, że znalazłam się przed
kratkami z okienkiem, z którego
wysuwały się kozaczki i ręka po-
pieniądze. Zdobywcze kozaki pasują
mniej więcej, tzn. mniej stopy
wchodzi, a więcej zostaje na ze-
wnątrz. Problem dopasowania nogi
do buta zostawiam do rozgryzienia
na jesień. Na razie zachwyam się

samym pomysłem osadzania ekspe-
dientek za kratkami, niby żeby u-
łatwić sprzedaż, ale jest w tym coś
pikantnego? W „Gobelinie” mają
wprowadzić lepszą innowację: zlik-
widować sprzedaż dywanów w skle-
pie i rozprowadzać przez zakłady
pracy. Ciekawe, czy w takim przy-
padku sprzedawczynie będą jedynie
siedziały, czy może zaproponuje się
im jakiś sposób zarabiania na pen-
sje.

Nie mam temperamentu rewolu-
cjonisty, a jednak czasem chce mi
się wyjść na ulicę i — porywając
za sobą tłumy — skandować:
„sprzedawczynie do sprzedawania”,
„kierownicy do kierowania”, „ro-
botnicy do roboty”, „rolnicy na ro-
lę”. Lista byłaby dłuższa: „pasta
do zębów”, „gazety do czytania”,
„kibelasa dla ludzi”. Tymczasem
nic z tego nie ma, a w naszych
kioskach „Ruchu” pojawiły się cze-
peczki kąpielowe. Bardziej przyda-
łyby się wprowadzić koła ratunko-
we, ale na to nas jeszcze nie stać.

A może nie ma potrzeby, bo tej
wiosny ludzie się na razie nie to-
pią, choć bulgot słychać wszędzie.
Dźwięki swojski, nieobcy, lecz nie-
co dziwi w sytuacji limitowanego
spożycia alkoholu. Państwo wpraw-
dzie ma nadal monopol na wódkę,
społeczeństwo jednak zdobyło nie-
legalny monopol na bimber. Obok
takich potentatów, jak niedawno
zlikwidowana w gminie Trzcianna
solidna, murowana bimbrownia w
niedostępnych, bagiennych lasach,
istnieją drobne parniki i kociołki.
Również w mieście większość po-
trzebujących produkuje samogon
domowym sposobem, na domowy u-
żytek. Przy każdej dostawie droż-
dzy gęstnieje kolejka, ludzie ciulają
kartkowy cukier lub szukają in-
nych wybiegów. Pewna kobieta tak
natrętnie molestowała księdza o da-
rowanie jej czterech kilogramów
cukru, aż ten zdenerwowany, za-
pytał: „A drożdży pani nie trze-
ba?” Nie podejrzewając ironii, od-
parła pospiesznie: „Ależ tak, proszę

księdza, byle tylko nie solone!” U
innej pani funkcjonariusze, szuka-
jąc zupełnie czegoś innego, znaleźli
przypadkowo pięć litrów zacieru i
zdecydowali się zlikwidować zacin-
przestępstwa. Gdy unosili z sobą
wiadro z zacierem, kobiecina wy-
biegła za nimi aż na ulicę perswa-
dując uparcie: „Panowie, co robi-
cie, ja dopiero wczoraj nastawiłam,
to się jeszcze nie nadaje!”

Pędzenie bimbru wydaje się nie-
mal tak łatwe i naturalne, jak u-
picie się. Przyjemność ta nie jest
bynajmniej zarezerwowana dla ob-
ywateli niższej kategorii. Ordynar-
nieją coraz bardziej ci z wyższej.
Klasyczny „Dr Jackyll i Mr Hyde”
ma wiele żałosnych łomżyńskich
wersji, gdy tzw. porządnym człowiek
— trzeźwiejąc — dowiaduje się, że
nieświadomie i niechcący stał się
przestępcą.

Andrzej Z., gość wykształcony, z
ogładą i dobrą opinią, zaliczował
16 tysięcy na pastę dla pracow-
ników swojej firmy. Pastę upłynnił,
pieniądze też zamienił na płyn, a
późnym wieczorem znów zjawił się
w biurze. Stróż wpuścił pana kie-
rownika bez problemu i nawet się
nie interesował, nad czym zwier-
chnik nocą pracuje. Rano nietrudno
było odgadnąć, kto zdemolował po-
kój i ukradł kalkulator. Natomiast
wracający z libacji, ogólnie szano-
wany, lekarz tak zmęczony się długą
wędrowką w ciemnościach, że przy-
siadł w oświetlonej witrynie skle-
pu moszcząc się wśród żyrandoli.
Przy okazji stłukła się szyba i kil-
ka drobniaków. Gdy ruszał dzielnie
w dalszą drogę, wziął z sobą —
dla równowagi — dwa śliczne aba-
zury. Milicjanci, a następnie także
prokurator, nie wiedzieli, czy trak-
tować go jako pijanego, który nie-
świadomie kradnie, czy jako zło-
dzieja pijącego w robocie. Oba ka-
zusy są równie dobrze opisane w
podręcznikach kryminalistyki, jak
historia remontu kina „Milenium”
w prasie.

KAROLINA

deklaracja programowa Polskiej Partii Robotniczej

O CO walczymy?

III

Świadomość nienawiści, jaką
pałał do sanacji cały naród
wrześniu 1939 r., zmusił ją do
zornego wycofania się z powierze-
nia życia politycznego narodu. W
szosć jej przywódców znalazła
na emigracji. Usuwając się chwi-
wo w cień i postanawiając pro-
czekać okres dla siebie najgor-
sanacja nie zrezygnowała z zam-
rów powrotu do żłobu rządow-
Za odskocznią do tego celu służył
konstytucja kwietniowa. Konstytu-
cja kwietniowa jest dla sanacji
sztańdarem, pod którym maszer-
do powrotnego objęcia władzy
Polsce.

Na mocy tej konstytucji obsad-
sanacja najwyższe stanowiska
hierarchii władzy państwowej. Ra-
kiewicz, emigracyjny prezydent,
jej człowiekiem. Po śmierci Sik-
skiego sanacja wprowadza na
dza naczelnego” Armii Polskiej
nerała Sosnkowskiego, który
znany i wybitny filar sanacji
Prócz tego w emigracyjnym rzą-
londyńskim zasiada jeszcze trze-
sanacyjnych ministrów. Te wszy-
kie emigracyjne sukcesy na dro-
do objęcia władzy w przyszłej pa-
sce osiągnęła sanacja w oparciu
konstytucję kwietniową. Nie-
pieczeństwo sanacyjne zagraża
rodowi polskiemu nie tylko ze st-
ny emigracji. O wiele poważniejs-
niebezpieczeństwo stanowią wy-
ki, zmierzające do odrodzenia
nacji w kraju.

Realną siłą, którą rozporządza
nacja w kraju i na emigracji,
policjno-administracyjny apar-
państwowy sprzed września 1939
i pokaźna część korpusu oficers-
go b. Armii Polskiej. Przy pom-
tych czynników sanacja oddzia-
wuje dość poważnie na bieg wy-
rzeń w kraju. Z racji rozporząd-
nia kadrami wojskowymi opano-
ła ona nie tylko polskie siły zbro-
ne na emigracji, podporządkow-
gen. Sosnkowskiemu, ale również
siłuje podporządkować sobie ws-
stkie wojskowo-niepodległości-
formacje w kraju pod hasłem
lenia sił zbrojnych narodu. Naj-
wództwo sanacyjne tak zwana
Krajowych Sił Zbrojnych (Arm-
Krajowa), uzyskawszy formu-
zgodę partyjnych wierzchołków
litycznych, obsadza swoimi ofi-
mi nawet takie demokratyczne
tysanacyjne organizacje wojsko-
jak Bataliony Chłopskie. W ten
sób zdobywa sanacja wpływ i
szereg innych, z ducha swojego i
zeń — demokratycznych organ-
cji wojskowych. Organizacja ta
nadała sanacji swój kierunek punk-
tozyczny, usiłuje utrzymać je w
tożności wobec okupanta, naduży-
do tych celów dyscypliny wojs-
wej. Najważniejszym celem, któ-
sanacja pragnie osiągnąć przy
mocy Armii Krajowej, jest uche-
cenie przez nią władzy w kraju
momencie przełomowym. Temu
łowi podporządkowuje ona wszy-
ważniejsze dzisiaj zadanie —
z okupantem. Armia Krajowa,
luga rachub sanacji, ma być ta-
która złamie wszystkie próby
cia władzy przez masy ludowe,
lityczną strawą codzienną, która
dzisiaj karmi się Armia Krajowa
jest rzekome niebezpieczeństwo
munizmu, zagrażające Polsce, i
ka z komunizmem staje się
niem naczelnym, narzuconym
Krajowej przez jej sanacyjne

refleksje



wództwo. Wiadomym jest, że hasło walki z komunizmem zawiera w sobie walkę z wszelkim postępowym demokratycznym ruchem społecznym. Najdobitniejszy wyraz dał ten hitlerizm, zakuwając całe nady w kajdany faszystowskiej niewoli, niszcząc każdy najmniejszy awet przejaw demokracji właśnie od hasła walki z komunizmem. apoczątkowana przez najczarniejszą reakcję plugawa wojna domowa, w której biorą udział i sanacyjne oddziały Armii Krajowej, znajdujące swoje źródła ideologiczne w hitlerystymie.

Ludzie sanacji, podobnie jak w emigracyjnym rządzie londyńskim, edzą głęboko i w jego Delegaturze krajowej. Oddanie Armii Krajowej przez Delegaturę pod dowództwo sanacji jest miernikiem opanowania delegatury przez nią. Delegatura ała się ekspozyturą sanacji. Faktu go nie zmienia oficjalne oparcie Delegatury o partię polityczną, óre pozornie odżegnywują się od nacji. Poparcie udzielane Delegaturze przez Stronnictwo Pracy, Narodową Demokrację oraz wierzchołki kierownictwa Stronnictwa Ludowego i WNR (prawicowy odłam PS) świadczy tylko o tym, jak głęboko przeniknęły wpływy i ideologia sanacji do tych ugrupowań. Z drugiej strony jest to wyrazem łąnienia się na platformie antysowieckiej sił faszystowskich, reakcyjnych, konserwatywnych i oportunistycznych, osi których jest sanacja. Platforma czwórporozumienia wodzi wielkiej, a w podstawowych zagadnieniach całkowitej eżności dążeń tych czterech onnictw z dążeniami sanacji. I-truje to najlepiej pozytywny ich sunek do konstytucji kwietnio-nej, zastrzeżenie sobie prawa wy-wności objęcia rządów w kraju wżględu na wolę narodu oraz cydowanie wrocie i prowokacyj-wojenne ustosunkowanie się do RR. Wszystko to oznacza konty-ację polityki Smigłego-Becka, którą naród zapłacił utratą nie-ległości i milionami ofiar krwa- hitlerowskiej okupacji. Lek- ed masami ludowymi, przed re- nami społecznymi, jest spoidlem acym oportunistyczne i konser- ywne elementy kierownicze R i Stronnictwa Ludowego z sa- a.

niebezpieczeństwo powrotu rzą- sanacyjnych w przyszłej Polsce więc poważne. Zlekceważyć go wolno tym bardziej, że czynnik- i są składowymi elementami sa- i, występują pod różnorodnymi amami, szermują frazesem demo- ycznym, nieraz nawet radykał- , dla oszukania i zmylenia mas tniczo-chłopskich.

PPR i Demokracja

Hasła demokracji politycznej i odarcejszej, hasła Polski demo- ycznej i wolnościowej widnieją aczelnych miejscach progra- , tez ideowych wszystkich bo- ugrupowań politycznych. Nie akiej partii politycznej, nie wy- ac sanacji, która by broniła mu społeczno-politycznego Pol- przedwrzniętowej. Wszystkie agają się zmian w duchu demo- i, lecz każda wkłada w pojęcie kracji inną treść — zależną od ego oblicza partii głoszących asło. Ten zgodny chór partyjny eść demokracji dowodzi tylko, erokie masy pracujące miast i ie chcą powrotu takich sto- ów społeczno-politycznych, któ- niały w Polsce przed jej upad- . Zdają one do takiego zre- owania i zdemokratyzowania i, które zabezpieczy im rolę prawnego gospodarza kraju. eja, która te funkcje gospoda- ragnie zdobyć dla siebie, nie pynać pod prąd ogólnonar- . Radykalizuje ona obłudnie hasła społeczne, rzuca sze- obietnice, aby opanować i u- ić jej siły. Lecz gdy osiągnie ychodzi na jaw oszustwo o- e i reakcyjna treść jej pseudo- kratycznych hasel. Pamięt- przykładem tego oszustwa re- iest historia z reformą rolną 1920 r. i powołanie do rządu a-Daszyńskiego w krytycznym akcji momencie. Chłoni ziemi nicznej nie dostali, a Witosa ta reakcja osadziła później w iu Naród polski, a szczególnie

robotnicy i chłopci, muszą pilnie ba- czyć, aby w całej powodzi progra- mów, hasel, deklaracji i wszelkiego rodzaju innych recept uzdrowienia Polski, zaopatrzonych stemplem rzeko- mej demokracji, mogli odróżnić ziarno od plewy, prawdę od oszus- twa, demokrację ludową od „demo- kracji” reakcyjno-sanacyjnej.

Polska Partia Robotnicza, dzie- rząc wysoko sztandar odbudowy i przebudowy Polski w duchu demo- kratycznym i wolnościowym, stwier- dza, że demokracja i wolność przy- szłej Polski będą tym pełniejsze, im liczniej i aktywniej w tworzeniu tych społecznych wartości wezmą u- dział masy ludowe. Wolność i de- mokracja nikt nie da wspania- lomyślnie światu pracy. Wolność i demokrację zdobyć muszą dla siebie masy pracujące w walce z faszysmem, reakcją społeczną i o- portunizmem. Wolność i demokracja dla ludu muszą być realizowane r- kami i wysiłkiem samego ludu.

W dążeniu do zdobycia władzy rząd emigracyjny i sanacyjna De- legatura wkładają olbrzymi wysiłek w montowanie aparatu władzy ad- ministracyjno-policyjnej, który chce narzucić narodowi. Podzielili oni między swoich ludzi całą Polskę, naznaczając przyszłych wojewodów, starostów, komisarzy, dyrektorów, prezydentów, burmistrzów, włacz- nie aż do stanowisk wójtów i admi- nistratorów domów. Opierając się o szeregi granatowej policji, której wierność dla okupanta potwierdza- ją tysiące faktów współpracy z nim w zbrodnym dziele wyniszczenia narodu, Delegatura montuje z tych elementów tak zwany Korpus Bez- pieczeństwa, który ma ułatwić ob- jęcie stanowisk mianowafcom.

Polska Partia Robotnicza, świa- doma celów, roli, zadań i charakte- ru rządu emigracyjnego w Londy- nie i jego Delegatury w kraju, przeciwstawia się zdecydowanie ob- jęciu przez te czynniki władzy w wyzwolonej Polsce. Polska Partia Robotnicza stawia sprawę wyłoni- nia Rządu Tymczasowego w kraju na płaszczyźnie porozumienia się wszystkich antyfaszystowskich i an- tyreakcyjnych sił społecznych, two- rzących Antyfaszystowski Front Na- rodowy. Siły te cementują się na ba- zie jedności klasy robotniczej i współpracy robotniczo-chłopskiej. Ich zbrojnym ramieniem staje się Armia Ludowa, złożona z tych wo- jskowych organizacji, które nie posz- ły ani pod faktyczną komendę sa- nacyjnego dowództwa Armii Krajo- wej, ani też nie mają nic wspólnego z faszystowskimi organizacjami wo- jskowymi, występującymi pod nazwą Narodowych Sił Zbrojnych. Mierni- kiem prawa do wyłonienia Rządu Tymczasowego jest wkład krwi i o- fiar w walce o wyzwolenie Polski, a ten jest największy po stronie ro- botników i chłopów.

Dlatego też kto głosi hasła demo- kracji i przebudowy Polski w duchu postępowym, a równocześnie popiera emigracyjny rząd londyński i jego Delegaturę krajową, pragnąc w te ręce złożyć losy przyszłej Polski, pod- szywa się tylko pod firmę demokra- cji i nie ma z nią nic wspólnego. Stosunek do rządu emi- gracyjnego i Delegatury Krajowej jest więc pierw- szym sprawdzianem praw- dziwości i szczerości hasel demokratycznych i wol- nościowych.

W obłudne hasła demokracji re- akcja polska wplotła hasła walki z komunizmem, jako zadanie demo- kracji. Pod tym naczelnym dla ca- łego obozu polskiej reakcji hasłem rozpala ona dzisiaj, właśnie dzi- siaj, gdy na ziemiach polskich znaj- duje się jeszcze okupant hitlerowski, ogień wojny domowej. Jutro, gdy zabraknie okupanta, byłoby dla niej za późno zmierzyć się z siłą mas robotniczo-chłopskich. Wspólnie z okupantem jest łatwiej. Najbardziej wsteczna i plugawa ich część wprę- gła się jawnie do walki okupanta przeciwko walczącemu narodowi. Zdradcy ci, marząc o utworzeniu dyktatury faszystowskiej w Polsce, bojąc się gorzej od ognia rosnącej siły ludu polskiego, poszli formalnie lub faktycznie na usługi Berlina, wzywając do zaprzestania walki z Niemcami i obrócenia broni prze- ciwko własnemu braciom. toczącym bój z okupantem, przeciwko Pol- skiej Partii Robotniczej, przeciwko żołnierzom Gwardii Ludowej. Bata-

lionów Chłopskich, socjalistów i in- nych ugrupowań demokratycznych. Ręce ich splamiły się już niejedno- krotnie krwią najlepszych synów na- rodu polskiego. Plugawym dziełem tej hitlerowskiej agentury jest po- stępne wymordowanie 26 żołnierzy Gwardii Ludowej oddziału imienia Kilińskiego w Lubelszczyźnie, mor- derstwa popełnione na działaczach robotniczo-chłopskich w Mogielnicy, w Kieleckim, w Siedlcach i wielu innych miejscowościach. Drugim środkiem, szeroko stosowanym przez tych haniebnych pomocników hit- leryzmu w rozprawianiu się z postę- powymi antyfaszystowskimi ele- mentami robotniczo-chłopskimi, jest denuncjacja ich działalności i prze- konań politycznych wobec Gestapo. W ten sposób sanacyjno-ozonowi i faszystowscy oprawcy wydali na śmierć już nie dziesiątki, ale setki szczerze oddanych sprawie robotni- czo-chłopskiej działaczy niepodleg- łościowych. Przodują w tym zbrod- niczym dziele faszystowskie orga- nizacje, na czele z ONR („Szaniec”) i dawną „Falangą” oraz ich Naro- dowe Siły Zbrojne. Sekunduje im Delegatura Rządu i jej Armia Kra- jowa. Występując pod obłudnymi ha- słami demokracji i troski o przys- łość narodu polskiego, sanacja sta- ła się żandarmem i szpiclem Hitle- ra w walce z narodem polskim. Przy pomocy okupanta oczyszcza sobie drogę do władzy. Zamiast wojny z okupantem rozpala wojnę z narodem polskim — bratobójczą, kainową wojnę domową.

Polska Partia Robotnicza, stano- wiąca część składową polskiego o- bozu demokratycznego, w który mie- rzy reakcją swoją akcją wojny do- mowej, stwierdza, że jedyną wojną, którą podjęła i którą prowadzić bę- dzie wraz z całym narodem aż do zwycięstwa — jest wojna z okupa- tem hitlerowskim o wyzwolenie Pol- ski. Kto dzisiaj głosi hasła wyzwo- lenia Polski, wolności i demokracji dla narodu, a równocześnie organi- zuje i propaguje pod hasłami walki z komunizmem wojnę domową lub jej sprzyja, nie jest i nie może być zwolennikiem Polski demokratycz- nej. Stosunek do akcji roz- palania wojny domowej jest drugim sprawdzia- nem prawdziwości i szcze- rości hasel demokratycz- nych i wolnościowych.

Aby w przyszłej Polsce rozwiązać zagadnienia społeczne i ekonomicz- ne, szybko odbudować kraj po znisz- czeniach wojennych, zapobiec kry- zysom i anarchii gospodarczej, któ- re skazują miliony ludzi na bezro- bocie, nędzę i szukanie chleba u ob- cych, nie wystarcza oprzeć władzę polityczną na podstawach demokra- tycznych. Co by był wart rząd zło- żony nawet z przedstawicieli robot- ników i chłopów, jeśli by obszarni- cy pozostali właścicielami swoich majątków, a wielki przemysł znaj- dował się w rękach prywatnych po- siadaczy. Czy może być pełna niepo- dległość narodu, gdy gospodarzami bogactw narodowych są jednostki, w dodatku jeszcze obcokrajowe. Polska nawet w latach 1918—1939 nie była niepodległą w pełnym sło- wa tego znaczeniu. Gospodarzami bogactw narodowych byli w lwiej części zagraniczni kapitaliści. Kapi- tał wszystkich spółek akcyjnych działających w Polsce (spółki ak- cyjne są niemal wyłączną formą większych przedsiębiorstw kapita- listycznych) wynosił w r. 1937 ogó- łem 4195 milionów zł. Uchwytny przez statystykę udział kapitału za- granicznego wynosił 49,9 proc., a więc sięgał połowy całości kapitału. Takie gałęzie przemysłu, jak hut- nictwo, górnictwo i przemysł nafto- wy, w trzech czwartych znajdowa- ły się w rękach obcego kapitału.

Gospodarowanie dobrem narodo- wym przez prywatnych posiadaczy (obojętne czy polskiej, czy innej na- rodowości) musi pociągać za sobą takie następstwa, jakich naród był świadkiem w przedwrzniętowej Polsce. Kartele kapitalistyczne za- mykały fabryki, wypłacając ich właścicielom krociowe sumy, a ro- botnik chodził do pracy i głodował. Ograniczano produkcję dla utrzy- mania wysokich zysków, a naród chodził bosi i obdarty. Zatapiało kopalnie węgla, a robotnik i urzęd- nik drżeli z zimna w nieopalanym mieszkaniu. Chłop zaś gotował swo- ją strawę przy słomie, bądylach i

patykach zabranych ukradkiem z lasu pańskiego. Bez końca można by mnożyć przykłady tego gospo- darczego stanu rzeczy w Polsce. Za- gadnienia tego nie da się zbyć mil- czeniem, mówiąc o przebudowie przyszłej Polski.

Polska Partia Robotnicza wysu- wa hasło znacjonalizowania wiel- kiego przemysłu i oddania go pod kontrolę komitetów fabrycznych. Po- lityczna władza narodu musi być połączona z gospodarczym włada- niem narodowym majątkiem. Bez tego nie ma demokracji, a pozostaje tylko jej frazes. Wie o tym doskona- le reakcja i dlatego albo przemilcza tę sprawę, albo zbywa ją mglistymi ogólnikami. Stosunek do zna- cjonalizowania wielkiego przemysłu, banków i transportu jest trzecim sprawdzianem prawdzi- wości i szczerości hasel demokratycznych.

A kto był gospodarzem ziemi w Polsce. Na ogólną ilość ziemi u- żytkowanej rolniczo (wraz z lasami), wynoszącą w 1931 roku 38 milionów hektarów, około 18 milionów pozo- stawało w rękach obszarników. 750 tysięcy rodzin chłopskich stłoczono na gospodarstwach mniejszych od 2 hektarów, dalszy milion sto ty- sięcy na gospodarstwach od 2—5 hektarów, czyli dwie trzecie lud- ności wsi gospodarzyło na karłowat- tych i drobnych gospodarstwach. W tym samym czasie około 20 tysięcy rodzin obszarniczych zasiadało na milionach hektarów ziemi, którą dla nich uprawiali robotnicy rolni i bie- dota wiejska. Struktura gospodar- cza Polski była taka, że około 8 mi- lionów ludności wiejskiej zdolnej do pracy marnowało swe siły bezpoży- tecznie. Pełne rozwiązanie tego za- gadnienia mieści się tylko w plano- wanej rozbudowie całego życia gos- podarczego Polski. Tym nie mniej, aby zaspokoić chociaż częściowo głód ziemi, należy usunąć z niej tych, którzy na niej nie pracują, a roszczą sobie do niej prawa własno- ciowe.

Polska reakcja próbuje i w tej sprawie powtórzyć oszustwo z 1920 roku. Bojąc się zrażać chłopów ot- wartym przeciwstawieniem się ha- słu wywłaszczenia ziemi obszarniczej, obiecuje ona im ziemię poniemiecką jako podstawę reformy rolnej. Gars- tka przywódców Stronnictwa Ludo- wego, wykorzystując brak kontroli nad nimi ze strony chłopów w wa- runkach okupacji, poszła na kom- promis z reakcją w tzw. deklaracji czwórporozumienia i nie wstydzi się frymareczyć interesami chłopów. Ro- botników i chłopów ten kompromis nie obowiązuje. Nie oni zawarli u- mowę z polską reakcją. Chłop i ro- botnik rolny wywłaszczy ziemię ob- szarniczą na swoją rzecz, nie pyta- jąc o pozwolenie ani obszarników, ani tych, którzy z nimi zawarli kom- promis.

Polska Partia Robotnicza zajęła w tej sprawie jasne stanowisko: zie- mia obszarnicza — chłopom i robo- tnikom rolnym. Kto więc głosi hasła przebudowy Polski w duchu demo- kratycznym, a przeciwstawia się wy- właszczeniu ziemi obszarniczej bez wykupu i odszkodowania lub też manewruje na tym odcinku, dowo- dzi obłudności tych hasel lub chęci wprowadzenia pierwiastka reakcyj- nego do demokratycznych form u- rządzenia Polski. Stosunek do zagadnienia ziemi obszar- niczej jest czwartym sprawdzianem prawdzi- wości i szczerości hasel demokratycznych i wol- nościowych.



Grażyna Kędzielska jest absolwentką Wydziału Grafiki krakowskiej ASP; od roku 1973 — członkiem zwyczajnym Związku Polskich Artystów Plastyków. W 1977 ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną, po czym zatrudniła się w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. Już na studiach (1976) uzyskała Grand Prix na Festiwalu Etiud Filmowych w Katowicach za etiudę „Biblioteka”, a w trzy lata później — za „Michała” — zdobyła Brązowego Lajkonika (jedną z trzech głównych nagród) na XIX Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Najwięcej splendorów spadło na film „Inny dom” (emitowany niedawno w TV), nakręcony w roku 1980: Nagroda Miasta Lipska na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych i wyróżnienie FIPRESCI oraz III nagroda na Ogólnopolskim Przeglądzie Filmów w Kielcach (w dziedzinie oświaty zdrowotnej), zaś autorka otrzymała Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki I stopnia. Teraz realizuje dwa filmy dokumentalne: „Jarmark uczuć” i „Portret ze słów”.

— Film dokumentalny w świadomości zwykłego odbiorcy nie plasuje się w sferze sztuki, mimo że to właśnie jego realizatorzy, Basil Wright, Paul Rotha, John Grierson, Dżiga Wiertow, Karel Reisz, doskonalili język filmowy, bogacili jego środki wyrazowe, odkrywali nowe obszary tematyczne. Myślę, że zwinili, dotychczas jeszcze niezbyt dobrze rozwiązany, sposób jego emisji. Traktowany jako „dodatek” do projekcji podstawowej lub „zapachajdziura” telewizyjna, nadal jest przyjmowany jako czysta rejestracja zdarzeń, ruchoma fotografia rzeczywistości, i nie poza tym.

— Bzdura. Tak było rzeczywiście, ale już nie jest. Ma on swoje prawa obywatelskie w TV (w audycji „Kino-Oko” czy „Wieczorne Filmowym”), ale także na projekcjach klubowych. Często też składa się z poszczególnych filmów seansy dwugodzinne, które potem wywołują wcale nie mniejsze dyskusje niż fabularne. W moim środowisku jest on traktowany bardzo poważnie, a i festiwale filmów dokumentalnych, w Lipsku, Krakowie czy Oberhausen, mają dużą rangę światową. Myślę, że wyłącznie treściowe odczytywanie dokumentu bierze się z niskiej kultury filmowej większości społeczeństwa, która jest również

nie będę Bunuelem?



nieczuła na kunszt warsztatowy filmów fabularnych.

— Myślę, że takie stwierdzenie nie krępuje twórcy i nie dopinguje do ambitnego wysiłku, chyba że nastawi się na festiwal, ale wówczas upada społeczne przeznaczenie jego sztuki. Może zatem od razu uciec do fabuły?

— Nie jest tak źle. Już nie ma takich widzów, którzy całkiem nie umysławiają sobie reguł tworzenia i funkcjonowania tej sztuki i którzy sądzą, że wystarczy wybrać obiekt, następnie puścić kamerę w ruch, aby potem taśmę wywołać i odtworzyć. Wszyscy musieli przecież zauważyć, że czas trwania zdarzenia czy zjawiska w rzeczywistości nie pokrywa się z jego czasem filmowym; większość wie, że rytmiczność i dramaturgia nadaje filmowi montaż, a spora grupa słyszała o systemie planów i ujęć. Nie muszą tego przecież nazywać, nie muszą w chwili oglądania mieć świadomości takich czy innych ruchów kamery; powinni natomiast przeżywać ich efekt emocjonalnie, bowiem przejście np. od planu ogólnego do detalu czy tzw. szwenk (szybki ruch kamery w bok) zaniepokoją każdego średnio wrażliwego odbiorcę. Na podstawie tej wiedzy widz zdaje sobie sprawę, że powstaje nowa rzeczywistość — filmowa. A do fabuły jeszcze zdążę...

— Jednak? Czy znaczy to, że nie jest Pani w stanie wypowiedzieć swego artystycznego credo w dokumencie?

— Jestem w stanie. Jak Pani wie, uprawiam film autorski (od pomysłu, przez scenariusz, po montaż — robię wszystko sama), a jego przedmiotem jest człowiek; nie każdy, lecz myślący, a jednocześnie wątpliwy, wahający się. Jest on teraz bohaterem moich doświadczeń dokumentalnych, które traktuję jako część badawczą założenia twórczego. Liczę na to, że fabuła je potwierdzi, artystycznie i psychologicznie usankcjonuje. Inaczej: film fabularny pozwoli zbilansować tę moją wiedzę, którą da mi dokumentalny; wiedzę warsztatową również. Dokument nie dopuszcza tak dalece posuniętego aranżowania faktów, a ich zgromadzenie w ilości potrzebnej do wyrażenia pewnej filozofii pochłonięłoby całe moje życie. A zatem rzecz nie w środkach wyrazowych, ponieważ obie te sztuki posługują się tym samym językiem.

— Przy czym łatwiej jest przełożyć pierwowzór literacki na fabułę niż na dokument, bowiem scenariusz swoje, a życie swoje; po prostu nie zawsze chce się nagiąć do ludzkiej wyobraźni. Zatem, że Pani chce wyrazić taką ideę...

— Po co zakładać; wiem, co chcę wyrazić. Otóż człowiek został wpisany w określoną rzeczywistość (tak, Dostojewszczyzna), ale nie zachowuje

się wobec niej biernie. Inną jak sam jest kształtem, przez różne sytuacje i problemy. On ma wpływ na to, co dzieje się wokół niego. Odegraw rolę w teatrze świata.

— Teza ta, acz mało oryginalna, jest łatwa do zilustrowania. Dokument musi być mozaiką faktów, tużnym śledzeniem przykładu jednemu, natomiast fabuła wymagałaby wiążącego artysty i warsztatowca.

— Ja wcale nie chcę powieść już w pierwszym filmie Bunuelem. Z pewnością potrzebuję jeszcze doświadczeń, a doboru takiego zespołu współpracowników, z którymi dogadywałbym się w dwa słowa. Nazywałbym metodą nasycania i nastroju współdziałających ze mną osób wizją filmową, by potem nimi „instrumentami” realizować film autorsko-artystyczny, z przedzielną przeze mnie formą, która nie mniej ważna od treści.

— Ale jest jeszcze widz. Pani nie wstępne i końcowy efekt mogą się rozmiąć, i co wtedy z nim członem pytania Pani nauczyciela Kazimierza Karasza: co, jak i dlaczego?

— Nie zapominam o odbiorcy. Mówię wprawdzie do niego w czajizowanym językiem filmowym, ale tak koduję swoje informacje, aby ich odbiór opierał się o cięty ludzki system postrzegania. Uruchamiać potrzebny aparat słowo-skojarzeniowy. Najbardziej ryzykowałam w etiudzie „Biblioteka”, do której cały mój świat był ukrytą kamerą, wzdana na kapryśną rzeczywistość. W kolejnych filmach nie byłam tak ograniczona ani tworzyłam metodą. Dokumentowałam tezę, rzadko uciekałam się do scenizacji; skwapliwie za to przystawałam, wzbogacając treść o wątki znalezione. A teza jest dla człowieka na tyle kształtująca, na ile sam jest w niej wklasy. Był bohater „Światła i cienia” i jego twórczość determinowała mój świat. Był bohater „Innego domu” i jego twórczość determinowała mój świat. Był bohater „Innego domu” i jego twórczość determinowała mój świat. Był bohater „Innego domu” i jego twórczość determinowała mój świat.

— Pani krzyżem są ciągle wywołane i ich konsekwencje. Niezależnie od tego, czy były wspólne, czy nie, efekty były wspólne. Niezależnie od tego, czy były wspólne, czy nie, efekty były wspólne.

Rozmowa z
STEFANIA HENCZEL
Fot. WOJCIECH SURMA

PLASTYKA



Czy obecność może mieć początek? Tak. Wtedy, kiedy coś jeszcze nie jest obecnością, lecz zostaje powołane do istnienia z myślą o trwaniu. Ta odrobina sofistyki jest niezbędna, aby umysłować wszystkim zainteresowanym, a także każdemu niezainteresowanemu (czytaj: niewiarkowi i antyście), że od czasu okazjonalnych wystawek plastyki w naszym mieście minęła cała jakościowa epoka. Kiedy piszę „wystawki”, nie dyskredytuję autorów, bo byli wśród nich twórcy znaczący, jak Bronisław Tyl, Henryk Osicki czy Sławomir Chudzik, ale

początek obecności

zaczynam mizerię warunków ekspozycji, a przede wszystkim — sporadyczność tych imprez. Musiało to być zniechęcające dla artystów, publiczności, organizatorów, i nie ma chyba wielkiej przesady w pogłosce, krążącej przed kilku laty po kulturalnej Łomży, że zdarzały się i takie wystawy, które — nie rozpakowane — „odbywały” swój wernisaż i ekspozycję w pokojach biurowych.

Ani obejrzelismy się, jak galerii Biura Wystaw Artystycznych przybyło towarzystwo dwóch stałych miejsc wystawowych — Klub „Stale zajęcie” przy ul. Wojska Polskiego I i Klub „Galeria” przy pl. Żeglarskiego (który — z oczywistych względów — proponuje nazwać „Pod Arkadami”).

W kwietniu oglądaliśmy w nich dwie wystawy malarskie. „Stale zajęcie” pokazywało pastele Mieczysława Birlawa. Technika ta od XVIII w. jest obecna w malarstwie. Miękką kredką, dającą wielkie możliwości tonowania i rozświetlania barw, służy do realizowania tematów wymagających subtelności i dopuszczających dyskretne efekty. Pasteli używano zarówno do żmudnego portretowania jak i pospiesznego notowania malarskich impresji. Służyły do kolorowego rysunku i projektowania jak np. u Axentowicza, Stanisławskiego czy Wyspiańskiego. Nie jest to przy tym wcale łatwa technika i mimo udoskonalenia

nich przez lata sposobów utrwalania, łatwo ulegająca niszczeniu, wpływowi światła, wilgoci, a nawet najzwyklejszemu zamazaniu.

Mieczysław Birlaw w kilkunastu obrazach daje próbkę właściwości pasteli. Wystawa jest mała, ale choć — trzeba to autorowi wytknąć — zrobiona według recepty: dam, co mam, warto ją obejrzeć. Szczególnie portrety, te symbolizujące czy metaforyzujące, jak „Głowa z meduzim włosiem” (autor nie tytułuje swoich prac, więc chcąc wskazać którąś, muszę to zastępczo czynić ja), i te realistycznie solidne, jak „Zielony chłopiec”. Pejzaż u Birlawa jest, wywodzącym się z modernizmu, udratyzowanym kawałkiem natury. Szczególnie „wdręczne” są tu stare drzewa i chmury. Trochę ta ekspozycja przypomina ogródek z jedną grządką, w której rośnie kwiatek i włoszczyzna, drzewko i krzak; uprawiać trudno i plewić nie bardzo można. Ale dobrze się stało, że ten łomżyński malarz wystawił swoje prace na osad wykraczający poza krąg znajomych.

Zbigniew Zarzycki, młody białostoczanin, maluje wyłącznie portrety. W pierwszej chwili wystawa robi wrażenie masowej produkcji dla ambitniejszego handlowca pamiątkami, produkcji dla „czyli udającej pewien styl podrabiającej modną i chodliwą maniery. Te portrety są dla ikona. Ale po kilku minutach

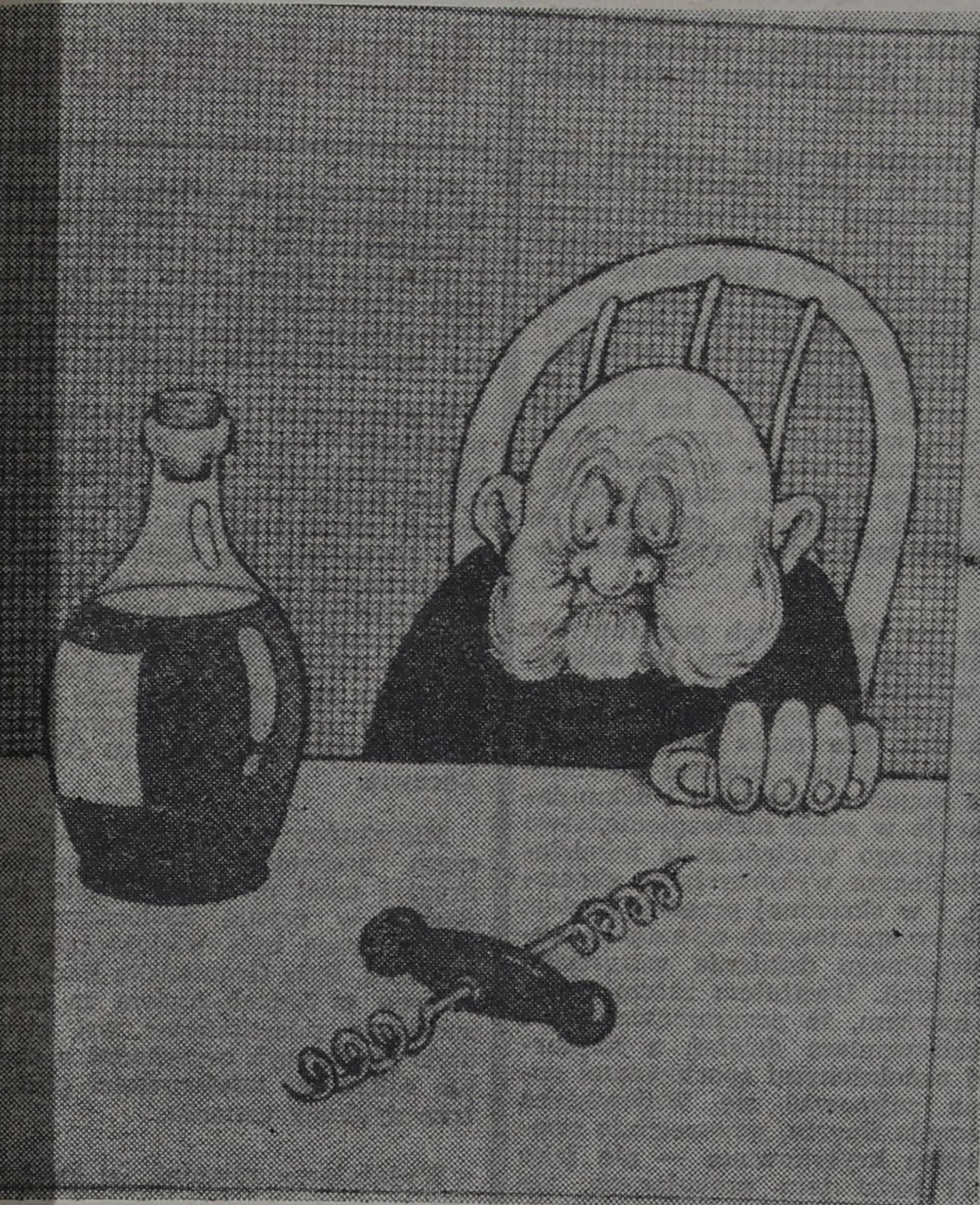
zaczynają się zmieniać odczucia. Nagromadzone wizerunki kich twarzy, to galeria sportnych ludzkich póz, przebrań, wań. Nie wszystko można w (czy sparodiować) w hierarchii zapisie ikony, są to więc pozycje, ale tym większe mamy wrażenie przedrzeźniania naszych rozliczeń i marzeń na własny użytek tej gromadzie twarzy, utrwalonych kolorami na deskach wałkach dykty. Jedno jest pewne: one muszą istnieć społecznie, nie, gromadnie, inaczej będą przypadkowe, tandetne. Chyba, jak w każdej zbiorowości, istnieją indywidualności, czy indywidualna najbardziej od innych doczne, zauważalne. Chciałoby się z nich odnotować, ale Zbigniew Zarzycki również nie tytułuje obrazów, przyjdzie mi więc, według własnego widzimisię, uwagę zwrócić „Trzech albo „Trzech po piwie”, a „Twarz prawosławnie połączona pucharkiem”. Jakież zamysły! „Twarz z papierosem”, a jak szczywa dobroć — „Młoda zółta zgranej, cwaniej światłobliwej „Thusty Niemen Christ” — i nawet cierniowa koronka jest taloplastyki.

Złoty album pokazuje nam Zbigniew Zarzycki. Warto było na tę wystawę choćby po to, aby poprzemierzać znajomych modeli, próbujących bezskrytyk swoją zwinność w pismach świętości.

ANDRZEJ GABOR



był sobie człowiek



wien chiński mędrzec, siedząc przy stole, przypatrywał się piorą-kobietom. Uderzały one mokrą na o płaskie kamienie. W czynie wodzie pływały wokół strzępki chłopców. Mędrzec wyławiał starannie na przybrzeż- gładziach. Schylił dość długo, aż się zdjął w całości. Razem przy- mały włóknisty arkusz.

Żył, że właśnie tak w latach 200 n.e. powstała pierwsza kart- pieru, którego głównym skład- nym były konopne włókna ze zu- tkanin. Dokładne badania in- rodzajów chińskiego papieru dają, że do jego wyrobu używa- kły kory morwowej, bambusa raw.

Europy przywędrował za po- cietwem Arabów. Oni właśnie, wojny na granicy państwa kiego, zdobywali jeńców, a wie- ich znało tajemnicę wytwarza- pieru. W 794 r. n.e. sułtan

Harum-Al-Raszyd mógł go już wprowadzić w swych kancelariach, zaś Arabowie wszędzie wozili go z sobą. Prawdopodobnie z mauretań- skiej Hiszpanii przedostał się do reszty Europy. Oprócz papierów bia- łych używano także kolorowych, cienkich bibulek, przeznaczonych dla państwowej poczty gołębiej.

Według chińskiej receptury — wytwarzanie papieru odbywało się w ten sposób: trzymając sito obu- rząc, zanurzano je do naczynia z „włóknistym mlekiem”. Grubość pa- pierowej kartki zależała od głębo- kości zanurzenia sita. Sito następnie wyjmowano i przewracano na deskę. Gdy woda odparowała całkowicie, zdejmowano arkusze i suszono na rozgrzanych murach miasta.

Arabowie poprzestali na chińskich metodach, ale właśnie oni skutecznie przyczynili się do wyparcia z tery- torium Europy papirusowych zwój- jów i pergaminowych kartek.

Fot. CAF

wróżby uniwersalne

poniedziałek nie wyjeżdżaj w

★
sprawę jadącemu, gdy zając przebieży, pewnie ją przegra.

★
a pryskająca znaczy gościa tego.

★
w piątek się śmieje, będzie w niedzielę. Kto w piątek, to w niedzielę płacze.

★
i widelec na krzyż złożone, cenienie solniczki — nieszczęście i wróż.

★
czki nie wywracać, lustra nie kłótnia.

★
kto pierwszy raz pije wódkę aną od kogo, to przeżegnać kieliszek, bo jeżeli urok by o czary, to dno odpadnie

★
Kielich wina przed grą wróży nie- szczęście.

★
Zachłystnięcie się zwłaszcza przy picu biorą za znak, że się ktoś spieszy i wkrótce przybędzie.

★
Białych kamieni nie brać do rąk, bo paznokcie spędzają.

★
Jak pajak spadnie na kogo lub pieniądze, oznacza szczęście.

★
Jak się pajak spuszcza przed po- łudniem — dobrze, po południu — źle.

★
Nożyczki, gdy spadną i utkwiją w ziemi, przyjdzie gość fałszywy.

★
Nóż, gdy spadnie — przyjdzie nie- przyjaciół, widelec — to ubogi, tyż- ka — to krewny

— Oskara Kolberga

tanie danie

KLUSKI NA PARZE — podawa- ne zamiast ziemniaków, kaszy czy makaronu — bardzo uatrakcyjną domowy jadłospis. Można je wielo- krotnie odświeżać bez zmiany sma- ku i konsystencji. Z kilograma mą- ki wychodzą 64 pulchne parowe „paczki”, które kluski z powodze- niem naśladują, jeśli się je podsma- ży i posypie cukrem w pudrze.

Najpierw trzeba w 1/4 l ciepłego mleka rozmeszać 10 dkg drożdży, 2 łyżeczki cukru i tyleż mąki, a na- stępnie odstawić do wyrośnięcia. Ki- logram mąki wsypać do miski, do- dać 1/2 szklanki cukru, 3/4 l mle- ka, 3 łyżki rozgrzanego tłuszczu, do- kładnie wyrobić z zaczynem dro- żdżowym i dać ciastu czas na wy- rośnięcie, aby potem wyłożyć je na stolnicę, rozwałkować do grubości 2—3 cm i szklanką powycinać klu- ski, które wystarczy potrzymać na gazie, przykrywając gotującą się w garnku wodę (naciągniętą gazę przywiązać sznurkiem), przez 5 min. pod miską lub płaskim garnkiem. Odświeżać w ten sam sposób.

radę naszych prababek

Zbutwiałe miejsca na tkaninach trzeba najpierw namoczyć w roz- cieżonym occie, a potem sprać w wodzie utlenionej, z amoniakiem w proporcjach 1:1.

★

Jeśli do przypalonych lekko żelaz- kiem, zażółconych miejsc na tkani- nach położymy kawałek cukru, zwil- żony wodą, pozbedziemy się plamy.

★

Wyroby ze słomy i wikliny od- świeżamy przez czyszczenie szco- teczką umoczoną w osolonej wodzie, po czym dokładnie suszymy.

★

Teczki, walizki, obuwie i inne wy- roby ze skóry, by stały się jak no- we, myjemy najpierw białym ubi- tym na pianę, a potem wcieramy w nie trochę bezbarwnej pasty.

łzy Świętego Wawrzyńca

Tradycja ludowa głosi, że marze- nia spełnią się temu, kto od momen- tu zauważenia spadającej gwiazdy aż do jej zgaśnięcia zdąży wypowie- dzieć swoje życzenie. Nie trzeba być wielkim szczęściarzem — wystarczy w bezchmurną noc pogapić się w niebo, aby stać się świadkiem „upad- ku gwiazdy”, meteoryty bowiem nie są zjawiskiem wyjątkowym. Rocznie spada ich na naszą planetę dwa ty- siące ton: od drobnych cząsteczek wielkości pyłku do rozmiarów orze- cha. Te ogromniaste spadają jednak bardzo rzadko.

Wiesz o upadku największego me- teorytu, jaki kiedykolwiek spadł na nasz glob, zachowała się w poda- niach Indian zamieszkujących tereny dzisiejszej Arizony. Głosi ona, że na Ziemię zjechało bóstwo w ognistej chmurze. Jeszcze dziś można oglądać po nim ślad: krater o średnicy około 1200 i głębokości 174 metrów. Uzeni obliczyli, że bolid musiał ważyć 10 000 ton, był więc 50-krotnie więk- szy od słynnego meteorytu tungus- kiego.

W roku 1948 w USA, na pograni- czu stanów Kansas i Nebraska, spadł wielki kamień, który rozprysł się na 1000 mniejszych. Jeden z nich ważył 1000 kilogramów. Był to największy meteoryt z zaobserwowanych współ- cześnie.

Na europejski kontynent również spadały wielkie meteoryty. W roku 1868 pod Pułtuskim lunął kamienny deszcz. Jedną z „kropelek” ważyła kilkanaście ton. Dwa lata wcześniej na terytorium dzisiejszych Węgier runął „kamyczek” o wadze 294 kilo- gramów.

W największe zakłopotanie wpra- wiają uczonych meteoryty lodowe. Skąd bierze się lód w Kosmosie — do tej pory nie potrafili dać odpow- iedzi. W 1978 r. specjaliści z bel- gijskiego Instytutu Meteorologiczne- go znalezione na farmie bryły lodu wielkości piłki nożnej określili jako bloki lodowe, które wypadły z toale- ty samolotu. Tegoż roku na teryto- rium Francji również spadła bryła lodu. Zjawisku towarzyszył dziwny szum i detonacja. Mimo ciepłego dnia i słonecznych promieni — w ciągu godziny nawet się nie nadtopił. Jakby na uragowisko uczonych — jesienią tegoż roku w Jugosławii, na muzeum archeologiczne, spadła po- tężna bryła lodu, wybijając w dachu otwór wielkości 40×60 centymetrów.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
A													
B													
C													
D													
E													
F													
G													
H													
I													
K													
L													
M													
N													

POZIOMO: A-1) brak szacunku dla poglądów innych, C-1) miara pojemności, C-10) kracha w Grecji; D-5) naszyjnik, E-1) wschodnia potrawa z ryżu i baraniny, E-9) na niej błona fotograficzna, F-3) centralne miejsce w cyrku, G-2) szkolny hałas, G-9) nie- jedna w atlasie, H-3) forma wyzysku pańszczyńnianego, I-1) witka, cienka gałązka, I-9) część meczu bokserskiego, K-3) kłamec, L-1) angielska dziewczyna, L-10) nosisz zimą na szyi, N-1) kierunek w filozofii współczesnej.

PIONOWO: 1-A) lider zespołu „Breakout”, 1-H) zmarła niedawno tłumaczka pol- ska, 3-C) ze szklanym ekranem, 4-A) wymarły przedek bydła domowego, 4-L) pułapka na muchy, 5-D) część roku, 6-A) kontuar, bufet, 6-K) rumowisko, 7-D) upośledzony, 8-A) paniński kwiat, 8-K) skraj, 9-E) sklepikarz, 10-A) kapitan arki, 10-L) fa- za pracy tłoka w silniku, 11-C) półwysep w Grecji, 13-A) rzadkie imię męskie, 13-H) dzielnica murzyńska w Nowym Jorku. („j”) ”

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w terminie 10-dnio- wym. Wśród prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy nagrody książkowe.

13

KONTAKTY
16 V 1982

stragan pod 13





Zarząd Międzyzakładowego Ludowego Klubu Sportowego „Warmia” w Grajewie, po zapoznaniu się z artykułem pt. „Gramy w zielone” w numerze 3/82 tygodnika „Kontakty”, z przykrością stwierdza, że informacja podana w nim o naszym Klubie jest nieścisła. Nie króluje w nim jedynie „kopana”, bowiem sekcja priorytetową są tu zapasy w stylu klasycznym. Sekcja ta, działająca od niespełna półtora roku, a prowadzona przez instruktora Władysława Klerdelewicza, ma już spore osiągnięcia. Wymieńmy tylko najważniejsze.

Kategoria młodzików

Na Międzywojewódzkim Turnieju Młodzików w Grajewie (11–12 III 1981) drużyna nasza zajęła I miejsce (na 5 startujących), co było efektem wyników indywidualnych: pięciu zawodników zdobyło I miejsce, dwu II i dwu III. Na Ogólnopolskim Turnieju Zapaśniczym w Łukowie (26–27 IX 1981) młodzicy uplasowali się drużynowo na 4 pozycji (7 uczestniczyło), na co złożyło się zajęcie trzech pierwszych



miejsce przez naszych zawodników. Na Strefowym Turnieju Zapaśniczym w Olsztynie (7–8 VI 1981) drużyna „Warmii” zajęła III miejsce (na 9 startujących), zaś indywidualnie — pięć miejsc I, jedno II i jedno III. Na Ogólnopolskim Turnieju Zapaśniczym w Grajewie (12–13 XII 1981) — I miejsce drużynowo, zaś jedno I, pięć II i cztery III indywidualnie. Otwarte igrzyska woj. białostockiego dały zespołowi „Warmii” również I miejsce, zaś zawodnikom: osiem I, cztery II i dwa III.

Kategoria juniorów

Na Ogólnopolskim Turnieju Zapaśniczym w Radomiu (3–4 X 1981) zajęliśmy — na 14 zawodników — dwa V miejsca. Turniej Strefowy w Olsztynie (7 XI 1981) przyniósł juniorom „Warmii” jedno I miejsce, dwa II i dwa III. Na Międzynarodowym Turnieju Przyjaźni w Kędzierzynie Koźle (3–5 III 1981) Obrycki zajął 7 miejsce na 18 uczestników. Mistrzostwa woj. łomżyńskiego dały nam II miejsce drużynowo, a indywidualnie: jedno I, cztery II i trzy III. Na Mistrzostwach Polski Juniorów LZS w Pyrzycach k. Szczecina (19–21 III 1982) zdobyliśmy jedno III i jedno VII miejsce.

Jak więc widać z powyższego zestawienia, Klub nasz i Wojewódzka Federacja Sportu w Łomży, w której jesteśmy zrzeszeni, nie szczędzą sił i środków, by nowo powstałej sekcji zapewnić pełne warunki rozwoju, czego — niestety — nie możemy powiedzieć o WZ LZS, dla którego jesteśmy chyba tylko potrzebni do celów statystycznych.

Klub „Warmia” powstał w roku 1924, a początkiem jego była sekcja piłki nożnej, więc chociażby dla zachowania historii i uszanowania tradycji sekcję „kopanej” — czy to się komuś podoba, czy nie — będziemy nadal prowadzić. Nie jest to jednak praca bezplanowa, nie przemyślana. Po kilkuletnim kryzysie w tej sekcji rozpoczęliśmy pracę od podstaw, czego dowodem jest dwukrotne pod rząd zdobycie tytułu mistrza Okręgu w kategorii trampkarzy. Na dowód tego OZPN w Łomży powierzył naszemu Klubowi reprezenta-

wanie województwa w Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży, z którego to obowiązku, a jednocześnie zaszczytu — pomimo znanych trudności — pragniemy wywiązać się jak najlepiej. Dla ścisłości dodam jeszcze, że w Klubie naszym działa sekcja tenisa stołowego chłopców i dziewcząt, systematycznie uczestnicząca w rozgrywkach łomżyńskiej klasy „A”.

W celu poznania prawdziwej działalności naszego Klubu, poznania jego trudności, bolączek i kłopotów, z jakimi borykają się nasi działacze i pracownicy etatowi, prosimy Ob. Redaktora podpisującego się „Wymiatacz” o przyjazd do Grajewa i zapoznanie się z całokształtem spraw na miejscu.

IRENEUSZ SZTACHANSKI
sekretarz urzędujący MLKS
„Warmia” Grajewo

Jako były Przewodniczący RW LZS chciałbym podzielić się kilkoma refleksjami dotyczącymi sportu wiejskiego. Nie ukrywam, że bezpośrednim tego powodem stał się artykuł „Gramy w zielone”. „Kontakty” po raz pierwszy podjęły temat „zielonych”, nie licząc oczywiście marginalnych wzmianek czy drobnych złośliwości, które pracy Zrzeszenia nie zaszkodziły, czasami nawet pomogły.

Stan Zrzeszenia (nie ten liczbowy) jest znany. Nie raz zastanawiałem się, na ile moja trzyletnia działalność miała nań wpływ. Uważam, że niczego nie da się w tej materii dokładnie wymierzyć. Można by podawać, ile imprez zorganizowano, ilu zawodników startowało, ile wręczono dyplomów czy pucharów itd., ale dla wielu działaczy sportowych takim wszystkim mówiącym miernikiem są wyniki w sporcie wyczynowym.

Uważałem i uważam nadal, że w naszym Zrzeszeniu sport wyczynowy nie jest najważniejszy, chociaż nie mogę wyobrazić sobie żadnej organizacji sportowej bez niego. Znam wielu kolegów, którzy nie uważali

się nigdy za żadnych wyczynowców, a dziennie biegali po 50 km. Tych, którzy sport uważają za wielką życiową przygodę, przekonywać do niczego nie muszę, a tych, którzy tak wyraźnie dostrzegają różnice między jednym a drugim, tym razem także nie przekonam.

W ubogim w bazę sportową województwie, przy nierównomiernie rozmieszczonej wykwalifikowanej kadrze, przyjęto słuszne kierunki pracy z najbardziej uzdolnioną sportowo młodzieżą. Ale — jak zawsze i wszędzie — są przecież dwa wyjścia. Mogły poszczególne organizacje i kluby działać w pojedynkę, na tzw. swoje konto, bądź też tworzyć wspólny, wojewódzki front, bo przecież centralne władze sportowe oceniały pracę w województwie pod kątem ilości zdobytych punktów na Spartakiadach Sportowych Młodzieży.

Ale nie dla samych punktów ten wspólny front tworzone. Do osiągnięcia wyników na określonym poziomie potrzebna jest wykwalifikowana kadra. Nie może być za wiele „amatorszczyzny”, bowiem nieumiejętna pogon za metrami i sekundami kryje w sobie niebezpieczeństwo nadmiernego wycieńczenia młodzieży. Najlepsze wykorzystanie skromnych, i w skromnej przecież liczbie, obiektów sportowych wymagało także wspólnego działania wszystkich organizacji. Uważałem zatem i nadal uważam, że programowaniem i organizowaniem działań z najbardziej uzdolnionymi sportowcami powinna zajmować się Wojewódzka Federacja Sportu, powszechnie swego czasu krytykowana — nie jako zespół ludzi tam pracujących, ale jako twór w strukturze organizacyjnej sportu zbyt czysty. Według mnie — jest ona potrzebna do pilotowania najlepszych zawodników, przekazanych jej przez organizacje sportowe. Dyskutować jednak trzeba nad relacjami pomiędzy Federacją a poszczególnymi organizacjami sportowymi. Wiele w tym względzie należy zmienić, dyskusje natomiast nie mogą zaczynać się od poszukiwania odpowiedzi na pytanie: kto jest ważniejszy; niestety, częstokroć tak bywało.

Moim zdaniem — LZS-y były nie najsłabszym ogniwem i propagatorem wojewódzkiego frontu w sporcie. Z uśmiechem, jako nie przemysłane, traktowałem zarzuty, że Igrzyska Szkół Rolniczych są robotą robijacką, bowiem punkty zdobywane na tych Igrzyskach nie były wliczane do oceny sportu w województwie. Kiedyś nawet powiedziałem, że przygotowywalibyśmy je nawet w sytuacji, gdyby punkty zdobyte przez młodzież szkół rolniczych na Ogólnopolskich Igrzyskach odejmowane byłyby od ogólnej punktacji, bowiem w przygotowaniach do Igrzysk widać było i zapał młodzieży, i ogromną chęć pracy nauczycieli wychowania fizycznego.

Kilka uwag pod adresem „Wymiatacza”, z którym niejednokrotnie, przy różnych okazjach, często do późnych godzin, o sporcie rozmawialiśmy. Plena RW ZLZS odbywały się tak rzadko, że każde z nich przechodziło do historii.

Na tym „burzliwym” plenum nie przedstawiałem swojej kandydatury na wiceprezesa, tylko kandydaturę jednomyślnie rekomendowaną przez Prezydium RW ZLZS. Takich szkolnych błędów popełniać nie wypada. Głosowałem na kolegę Kruśzewskiego, który sprawdził się dużo wcześniej. Sformułowanie „zatykać dziury pierwszym lepszym” uważałem za duży nietakt, bo i skojarzenia mogą być różne, a i był to przecież członek WZ ZLZS, tzn. nikt z tych, jak to się popularnie mówi, przywiezionych w worku. Nie przesadzajmy, że odmiennosc poglądów jest od razu opozycją. Przecież „Kontakty” tak mocno (i — sądząc — słusznie) o możliwości wyrażania różnych poglądów walczyły, przez co naraziły się na (niedoszły) „bojkot”.

A że „Wymiatacz” nie poskapił złośliwości pod adresem Zrzeszenia, to i ja chcę zauważyć, że liczenie chrapających na sali nie uważam za najciekawsze zajęcie. Jeśli jednak komuś odpowiada — jego sprawa, tylko niech liczy dokładnie, a ponadto wyraźnie zdefiniuje pojęcie „pochrapywania”.

HENRYK GRYKO
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakt

Po przeczytaniu artykułu Da Wroniszewskiej „Pomnik gmin marnotrawstwa”, zamieszczonego 3 numerze „Kontaktów”, a dotychczasowego nieporozumienia sąsiedzkich Łoje-Awissa i Czachy, postanowiłem wyjaśnić kilka spornych spraw.

W pierwszych latach powojennej wsi Łoje-Awissa w nie społecnym sami wybudowali szkołę podstawową, do której uczęszczały dzieci z sąsiednich wsi. ona drewniana, jak wiele budynków budowanych w tym czasie, a była zlikwidowana w okresie, kiedy powstawały zbiorcze szkoły gminne. Była to decyzja władz wyższych, samo jak ta, która dotyczyła budowy w naszej wsi Gromadzka Rada Narodowa i punktu Oświaty i Zdrowia.

Mieszkańcy naszej wsi mają czym pochwalić. Otóż wsi drogę i most na rzece Wisse. dowali w czynie społecznym swoją pracę byli wielokrotnie. Była Gromadzka Rada Rodowa w Łojach-Awissa za społeczne mieszkańców wsi, miała proporcję przechodni, a nie sołtys tej miejscowości pod trzy dyplomy uznania.

Wyjaśniamy również, że inicjatywa budowy punktu zlewni w Łojach-Awissa zrodziła się w 1978 roku, a nie w marcu br. W czasie mieszkańcy wsi Łoje-Awissa zwrócili się do Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Kolnie z wnioskiem o pozwolenie na budowę zlewni. Spółdzielnia wyraziła zgodę na wadzenie takiej budowy, ale dopiero w roku 1982 lub 1983. W związku z tym na początku bieżącego roku przedstawiciele wsi Czachy i Łoje-Awissa poprosili naczelnika Rady w Radziłowie o zezwolenie na budowę punktu zlewni mleka w miejscowościach. Poza tym, by zrealizować swoje plany, zwrócili się z prośbą o zgodę do gminnego Sanepidu i Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Grajewie. Naczelnik zaproponował przedłożenie obu wsi pobudowanie wsi nymi siłami jednego punktu. Wiać nakaze wieś Czachy nie zgodzić na takie rozwiązanie. Ostateczna decyzja o budowie zlewni w Łojach-Awissa zapadła na posiedzeniu Prezydium GRN i Egzekutywy PZPR w Radziłowie w marcu bieżącego roku. Wtedy mieszkańcy wsi zaczęli załatwiać dokumenty i plany oraz zakupili materiały budowlane. Natomiast w tym czasie mieszkańcy wsi Czachy posiadając żadnego pozwolenia, wadzili budowę zlewni w podwójnej miejscowości, którą postanowiliśmy ukończyć w ciągu miesiąca. Nie możemy nadmienić, że jeżeli mieszkańcy w Czachach może zbudować punkt zlewni przez miesiąc, to mieszkańcy ze wsi Łoje-Awissa nie stanowią wykonać budowę w kilku dni. Ale my chcemy wszystko legalnie, czyli uzyskać pozwolenie, a dopiero budować. Za to Redakcja nie nas publicznie potępiać. Jest nas krzywdzące i dlatego uważamy, że zasłużyliśmy na właściwym i przeproszenie.

ALEKSANDER DĄBRO
sołtys wsi Łoje-Awissa
(w imieniu mieszkańców)

Od autorki: nie potępiaj mieszkańców wsi Łoje-Awissa Czachów. Podziwiam nawet ich leczne zaangażowanie i zapamiętowałam jedynie pewne przesady pod adresem pana naczelnika, pełnie nie rozumiem, dlaczego zię się pan sołtys.

wegetującym mieszkańcom, zaś na wykupienie opuszczonych zabudowań i przeniesienia ich gmina nie ma pieniędzy.

WASOSZ. Zakończono zakładanie wodociągu. Na remont chodników potrzeba 70 tysięcy płytek, lecz z zakupem przyjdzie poczekać do przyszłego roku. Wynajęta do nawiezienia 3 kilometrowego odcinka nawierzchni żwirowej Spółdzielnia Kółek Rolniczych zażyła sobie zapłaty już po nowych cenach, co pochłonęło całoroczny budżet, tzn. 1777 tysięcy złotych. Gmina ma dosyć „patronatu” szczuczynskiej GS, szczególnie skompromitowanej w rozdzielnictwie nawozów, maszyn rolniczych i materiałów budowlanych. Postanowiła więc utworzyć własną spółdzielnię. Sprawa jest na dobrej drodze, ale inicjatorzy obawiają się, że ukryci jej głowę najbliższe zebranie członków Spółdzielni w Szczuczynie, do której jeszcze należą.

GRAJEWO i STAWISKI. Masar nie idą samopas. Grajewska serwuje mieszkańcom Goniadza kielbasę tańszą niż po 350 złotych, stawiska zaś — jak to określa klient — wymyśliła tzw. kielbasę pasewną: przejrzystą jak pergamin, rogą jak pieprz i po położeniu na tół — zieloną jak salata. Zdumieni konsumenci wielokrotnie pytali preśsa GS-u, kiedy ujawni im recepturę, lecz za każdym razem słyszeli tylko jedną odpowiedź: „Kielbasę ta wsi musimy robić według norm wiejskich”.

CIECHANÓW. Wiceprezes Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, Antoni Wawrentowicz gwarantuje swoją głowę, że po remoncie pieca pie-

karni skończą się utyskiwania mieszkańców gmin: Perlejewo, Boguty, Nur na niską jakość pieczywa.

GRABOWO. Na 1500 hektarów upraw zdołano zapewnić nawozy za ledwie na 600. Jeszcze gorzej przedstawia się zaopatrzenie w środki chwastobójcze: 100 kilogramów musi wystarczyć na całą gminę. Naczelnik wyruszył na pola z apelem, żeby żaden chwast nie atakował gminnych upraw, bo on naprawdę nie ma go czym zwalczać. Mieszkańcy tego rejonu już od stycznia br. nie widzieli w swoich sklepach ani grama drożdży i ani jednej bułeczki. Zmuszeni są więc jeździć po te „drobiazgi” do Łomży, Kolna, Grajewa.

ŚNIADOWO. Koło Związku Młodzieży Wiejskiej w Dębowie adaptuje stary budynek na sklep, którego tu nie było od dwunastu lat.

GOŚCILI W ŁOMŻY: Alfimantos Brazankas, sekretarz KC Komunistycznej Partii Litwy, Witant, dardanawiczus, kierownik Wydziału Organizacyjnego KC KP Litwy, Mieczysław Sadowski, zastępca kierownika Wydziału Zagranicznego KC KP oraz Wincenty Nawickas, dyrektor paniewieżyńskiego zakładu „Ekranas”.

SPROSTOWANIE. Sporo namieszał niepoprawny chochlik drukarski w ostatnich „Zdarzeniach”: „pożar” 1 przed cyfrą 91 i stąd błędna informacja „w 91 rocznicę Konstytucji 3-Maja” zamiast prawidłowo „w 191 rocznicę”; poprzestawiał literę, a nawet „uprzedził” decyzję o zniesieniu godziny milicyjnej, wystukując „od 2 kwietnia” zamiast „od 2 maja”. Za wszystkie błędy serdecznie przepraszamy.

pytanie drażliwe

— Skąd ten bałagan: raz smalec a wszystkich, kiedy indziej tylko a dzieci? Kartki mają przecież szyszy!

Odpowiada kierownik działu reglamentacji UW w Łomży, **KAZIMIERZ RÓŻYŃSKI**: — Rzeczywiście, kartki uprawniające każdego do nabycia 5 gramów smalcu lub margaryny, nocnie wprowadzone zostały

specjalne kartki na smalec, przysługujące dodatkowo dzieciom. Aby zaspokoić tylko te ostatnie potrzeby, musimy mieć ok. 40 ton smalcu miesięcznie. Tymczasem cała pula, jaką dysponowaliśmy w kwietniu, nie przekraczała 42 ton. Dlatego handel otrzymał polecenie, by w pierwszej kolejności realizował przydziały dla dzieci — innym po prostu już nie starczyło.

związki zawodowe jakich oczekują?

Wypowiadają się pracownicy Zakładu Energetycznego Białystok, Ren Łomża.

HENRYK HYSK, monter Pogotowa Ratunkowego: — Bez związków nie ma życia. Powinny być jak najbardziej odwołane. Przecież to jedna obrona pracownika. Tych, którzy naruszali statut związku, trzeba liczyć, ale nie pozbawiać wszystkich związków możliwości działania. Przecież setki tysięcy z nich ałało rzeczywiście w interesie pracowników.

KAZIMIERZ FALKOWSKI, dyktant Oddziału Dyspozycji Ruchu: — Cóż mogę powiedzieć o związkach zawodowych, jeżeli one są zawieszono? Czy nasz robotniczy los będzie czywiście brany pod uwagę po ich wieszeniu? U nas prawie 90 proc. ogi należała do „Solidarności”. ciałbym, aby i w obecnych czasach związek ów mógł również działać. Mówię tak nie przez zwyrodniającą przekorę czy złośliwość. Ten ążek naprawdę bardzo mi się poał, bo rzeczywiście dbał o intere pracowników.

HENRYK LISTOWSKI, elektromonter urzędów pomiarowych: — „Solidarność” przyjęła się w naszym ładzie bardzo dobrze. Było wza-

jemne zaufanie, na zebraniu załogi każdy mógł swobodnie wypowiedzieć się, bo nikogo się nie obawiał. No i jeszcze jedna najważniejsza sprawa: w zakładzie nic się nie robiło bez nas. Były to związki o niebo lepsze od branżowych; tam (przez dwie kadencje wchodziłem w skład oddziałowej komisji związkowej) liczyły się tylko protokoły i zebrania. Teraz mówi się często: załóg dzielić nie wolno, bo wszyscy jesteśmy takimi samymi pracownikami, ale to właśnie związki branżowe różniły nas przy przyznawaniu każdej premii pracownikom fizycznym i umysłowym. Opowiadam się za „Solidarnością”.

ZDZISŁAW PAWŁOWSKI, kierownik robót transportowych: — Nie może być dłużej tak, aby zakład istniał bez związków. Administracja może się jakoś bez nich obejść, ale załódze są one bardzo potrzebne. „Solidarność” dbała o sprawy pracowników. Chcę do niej nadal należeć.

MALINA BUCIŃSKA, starszy referent do spraw transportowych: — Powołaniem związku zawodowego jest reprezentowanie interesów pracowników. Opowiadam się za „Solidarnością”.

(gmina Nowogród) spalił się dach stodoły murowanej, a w jej wnętrzu — sprzęt rolniczy. Jak się przypuszcza, przyczyną pożaru było celowe podpalenie.

WYPADKI. Na niestrzeżonym przejeździe kolejowym w Grajewie pod pociąg relacji Białystok — Grajewo, wjechał syreną Ryszard P., lat 26, mieszkaniec Szczuczyna. Pasażer samochodu doznał ciężkich obrażeń ciała.

Pijany pasażer wypadł z ciągnika, którym kierował nietrzeźwy Stanisław B. Pasażer, Eugeniusz S. z miejscowości Wybrane (gmina Rutki) doznał ciężkich obrażeń ciała.

z marginesu

POŻARY. We wsi Bruszewo (gm. Sokół) wybuchł pożar w zabudowaniach Józefa P. Spalił się dach budynku gospodarczego. Co było przyczyną pożaru — nie wiadomo.

W czasie instalacji elektrycznej przyczyniło się do powstania pożaru Zalesiu Wypychy (gmina Śniadowo). Spłonęła stodoła drewniana z słomą i murowana obora ze pianym dachem — własność Tadeusza W. z Ostrołęki.

Zabudowaniach gospodarczych w C. z miejscowości Dziegi

sprintem przez boiska

W rozgrywkach klasy okręgowej seniorów w piłce nożnej padły rozstrzygnięcia: „Narew” II — „Grom” 1:3, „Olimpia” — ZWAR 2:0, „Ostrovia” — „Mławianka” 1:1, ŁKS — „Mazovia” 1:0, MKKS — „Bug” 1:4, „Biekitni” — „Makowianka” 2:1.

1. „Olimpia”	25:9	27:13
2. ŁKS	23:11	27:19
3. „Mazovia”	22:12	46:22
4. ZWAR	22:12	32:18
5. „Bug”	22:12	30:15
6. „Mławianka”	21:13	39:18
7. „Biekitni”	18:16	33:26
8. „Makowianka”	17:17	30:28
9. „Grom”	15:19	23:26
10. MKKS	9:25	19:38
11. „Ostrovia”	7:27	18:43
12. „Narew” II	3:31	7:63

Klasa okręgowa juniorów: „Olimpia” — ZWAR 2:4, „Zbik” — „Mławianka” 1:3, ŁKS — „Mazovia” 1:1, MKKS — „Bug” 5:0, „Biekitni” — „Makowianka” 2:1. Pauzowały „Narew”.

1. „Narew”	25:5	52:15
2. „Biekitni”	25:5	44:14
3. ZWAR	21:11	32:19
4. MKKS	20:12	31:18
5. ŁKS	19:13	25:18
6. „Mławianka”	16:16	27:42
7. „Mazovia”	15:15	31:28
8. „Makowianka”	11:19	24:34
9. „Bug”	9:23	20:45
10. „Zbik”	4:24	14:45
11. „Olimpia”	3:27	13:44

Mecz piłki nożnej o mistrzostwo klasy wojewódzkiej pomiędzy „Spartą” i „Orlem” został przerwany przez sędziego przy stanie 1:1, na dwadzieścia minut przed końcem. Pozostałe wyniki: „Ruch” — „Bawelna” 0:1, „Unia” — „Ziemowit” 5:3, „Smolniki” — „Wissa” 0:0. Pauzowały: „Warmia” i „Victoria”.

1. „Bawelna”	23:3	57:13
2. „Warmia”	19:5	58:20
3. „Unia”	17:9	35:32
4. „Orzeł”	16:10	46:20
5. „Smolniki”	14:12	28:24
6. „Ruch”	13:11	27:32
7. „Sparta”	11:15	31:47
8. „Wissa”	7:19	17:35
9. „Victoria”	6:18	14:50
10. „Ziemowit”	2:24	19:61

W środę, 5 maja, w półfinałowym pojedynku o puchar Polski spotkały się jedenastki „Gromu” Czerwony Bór i ŁKS-u Łomża. Przy stanie 2:0 dla „Gromu” z boiska zeszli piłkarze ŁKS-u. Wydział Gier i Dyscypliny Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Łomży zweryfikował mecz 3:0 vo na korzyść „Gromu”. W finale

IMPREZY KULTURALNE

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: koncert chóru Akademii Medycznej w Białymstoku (w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży), 18 V, godz. 17.00; „Poskromienie złoŃnicy” Williama Szekspira — spektakl Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Węgierki z Białegostoku, 18 V, godz. 15.30 i 18.30; koncert młodzieżowego zespołu „Cytrus”, 19 V, godz. 16.00 i 18.00 (bilety do nabycia w WDK, pokój nr 31).

Miejski Dom Kultury — Dom Srodownisk Twórczych w Łomży: pokaz slajdów (w Klubie—Galerii „Pod Arkadami”), 13 V, godz. 19.00; Klub Dobrej Płyty (w Klubie—Galerii „Pod Arkadami”), 18 V, godz. 17.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: rejonowe eliminacje konkursu piosenki dziecięcej i konkursu recytatorskiego dla dzieci, 15 V, godz. 11.00; „Problemy kolneńskiej młodzieży” — spotkanie z młodzieżą, 19 V, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysokim Mazowieckiem: rejonowe eliminacje festiwalu piosenki dziecięcej (w muszli koncertowej), 16 V, godz. 14.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Stawiskach: „Mój ulubiony bohater” — konkurs rysunkowy dla dzieci, 16 V, godz. 10.30.

Klub Rolnika w Turośli: spotkanie członków Klubu Olimpijczyka z młodzieżą szkolną, 19 V, godz. 17.00.

Łomżyńska Orkiestra Kameralna — koncert w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży, 14 V, godz. 18.00. Dyryguje Henryk Szewdo. Solista: Anna Prabucka-Firlej — fortepian. W programie — utwory Wolf-

Star z Przedsiębiorstwa Sprzętu i Transportu Rolniczego w Elku, kierowany przez Jana M., w Wierzbowie (gmina Grajewo) zjechał nagle na lewą stronę jezdni i uderzył w przydrożne drzewo. Samochód uległ całkowitemu zniszczeniu.

Na placu przy Dworcu PKS w Łomży tłum pasażerów wepchnął pod koła, podjeżdżającego na stowisko autobusu, Czesława M. z Poniātu gm. Piątnica. Koło zmiażdżyło mu obie stopy.

Na drodze we wsi Skórzec znaleziono Mariannę W. z obrażeniami ciała. Grupa operacyjno-dochodzeniowa ustaliła, że poszkodowaną, będą-

pucharu Polski (szczebel wojewódzki) „Grom” zmierzy się z „Olimpią” zambrow.

Podczas miejskiej inauguracji „Dni Olimpijczyka” w Łomży ogłoszono listy dziesięciu najlepszych sportowców miasta w kategoriach młodzików i juniorów. Przedstawiciele szkolnych klubów sportowych wypowiadali następującą kolejęność (młodzików): 1. Jacek Rogiński (SP 7), 2. Bożena Ostrowska (SP 3), 3. Walde-mar Bikowski (SP 7), 4. Tomasz Poreda (SP 2), 5. Barbara Rogińska (SP 7), 6. Agata Steczkowska (SP 6), 7. Beata Cicho-czka (SP 4), 8. Jolanta Rutkowska (SP 3), 9. Elżbieta Kneć (SP 4), 10. Cezary Buczkowski (SP 3); natomiast wśród juniorów kolejność przedstawia się następująco: 1. Lucyna Sikorska (ZSE), 2. Zbigniew Godlewski (ZSMech.), 3. Teresa Kaczmarek (ZSE), 4. Lech Zazulin (ZSB), 5. Marzena Kurant (ZSMed.), 6. Małgorzata Kosińska (LO), 7. Teresa Tenderenda (ZSMed.), 8. Dariusz Banach (ZSMech.), 9. Mirosława Boroń (ZSE), 10. Jarosław Węgrowski (ZSMech.). Gratulujemy wyróżnionym sportowcom!

Dobiegły końca rozgrywki w piłce ręcznej szkół podstawowych odbywające się w ramach VII Łomżyńskiej Olimpiady Młodzieży Szkolnej. W kategorii dziewcząt zwyciężyły podopieczne Jana Niedbały ze SP 2 w Kolnie przed ZSG Szumowo, SP Kłewianka (gmina Goniądz), ZSG Mały Płock, SP Nieciki (gmina Wasosz i ZSG Łomża, a wśród chłopców ZSG Ciechanowiec (opiekun Cezary Proniewicz) przed SP 2 Kolno, SP Słucz (gmina Radziłów), ZSG Mały Płock, SP Czerwone (gmina Kolno) oraz ZSG Łomża.

Drużynowe mistrzostwa Łomży w lekkiej atletyce wśród dziewcząt i chłopców zdobyła Szkoła Podstawowa nr 7, wygrywając z reprezentacjami Szkół Podstawowych nr 2 i 1.

W Łomży odbył się turniej karate (tae kwon do). Puchar Przewodniczącego MK KFSiŁ zdobył mistrz Polski, zespół AZS Lublin. Wyniki: AZS Lublin—MKKS „Zorza” Łomża 3:1, AZS Lublin—MKKS Ostrowiec Świętokrzyski 3:1, MKKS „Zorza” — MKS Ostrowiec Świętokrzyski 2:2. Zespół „Zorza” wystąpił w składzie: Dariusz Węgrowski, Marek Lechowicz, Konrad Zaremba i Zbigniew Godlewski. Drużyna opiekuje się Maciej Macieboch.

Mieczysław Czerniawski został Przewodniczącym Miejskiego Komitetu Kultury Fizycznej Sportu i Turystyki w Łomży. Wiceprzewodniczącymi wybrano Marka Humiechuka i Edwarda Traskowskiego. Funkcję sekretarza powierzono Janowi Reczko.

ganga Amadeusa Mozarta: Uwertura do opery „Urowadzenie z Se-raju”, Koncert fortepianowy c-moll (KV 491), Symfonia D-dur „Paryska” (KV 297).

wystawy

Biuro Wystaw Artystycznych — Salon Wystawowy, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświęconych — w godz. 12.00 — 18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): wystawa plakatu filmowego ze zbiorów Grażyny Kędziewskiej.

Klub—Galeria „Pod Arkadami”, Pl. Żeglckiego (czynna codziennie w godz. 12.00—16.00): wystawa malarstwa Władysława Mściuchowskiego.

Klub „Stale Zajęcie”, ul. Wojska Polskiego 1 (czynny codziennie w godz. 9.00—20.00, w poniedziałki w godz. 8.00—16.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 14.00—20.00): wystawa ekslibrisów.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1 (czynne codziennie — oprócz poniedziałków, wtorków i dni poświęconych — w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00): czasowa wystawa współczesnego ludowego malarstwa na szkłe ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Toruniu.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu (czynne codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświęconych — w godz. 9.00—16.00): „Umowy przedślubne” — czasowa wystawa dokumentów historycznych z akt rodziny Ciecierskich; wystawa rzeźby portretowej Jana Ślusarczyka i Alfonsa Karnego.

ca w stanie nietrzeźwym, potrafił wóz konny, którym powoził Andrzej L.

We wsi Wólka Duża, gm. Wysokie Mazowieckie, Sławomir L., kierując nie oświetlonym Fiatem 125p, najechał na pieszego i jego samochód, stojący na poboczu drogi. Maluch przesunął się do przodu i uderzył w drugiego małego fiata. Sprawca, cofając swój samochód, najechał na drugiego pieszego, po czym zbiegł z miejsca wypadku. Jak ustalono, kierowca dużego fiata znajdował się w stanie nietrzeźwym.

Redagowanie zdarzeń
STANISŁAW ZIELIŃSKI

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Onelczenko — sekretarz redakcji, Henryk Gała, Wiesław Kosiński, Adam Jerzy Socha, Władysław Toki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Alicja Zagórska, Fotoreporter — Gabor Łorinczy — Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielski, Redaktor — Jerzy Bielecki, Bronisław Gólewski, Jacek Grün, Wiesław Janicki, Andrzej Kozłara, Piotr Kunciewicz, Jan Kwasowski, Tomasz Piotrowski, Jan Łukasiuk, Andrzej Podulka, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Wiktor Szukiel, Andrzej Tchorzewski, Wojciech Wójcik, KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Giebel, ADRES REDAKCJI, ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża, telefon: 42-42 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 50-77 (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 50-78 (kierownik wydawnictwa), 50-79 (kierownik drukarni), 50-80 (kierownik biura ogłoszeń), 50-81 (kierownik biura ogłoszeń), 50-82 (kierownik biura ogłoszeń), 50-83 (kierownik biura ogłoszeń), 50-84 (kierownik biura ogłoszeń), 50-85 (kierownik biura ogłoszeń), 50-86 (kierownik biura ogłoszeń), 50-87 (kierownik biura ogłoszeń), 50-88 (kierownik biura ogłoszeń), 50-89 (kierownik biura ogłoszeń), 50-90 (kierownik biura ogłoszeń), 50-91 (kierownik biura ogłoszeń), 50-92 (kierownik biura ogłoszeń), 50-93 (kierownik biura ogłoszeń), 50-94 (kierownik biura ogłoszeń), 50-95 (kierownik biura ogłoszeń), 50-96 (kierownik biura ogłoszeń), 50-97 (kierownik biura ogłoszeń), 50-98 (kierownik biura ogłoszeń), 50-99 (kierownik biura ogłoszeń), 50-100 (kierownik biura ogłoszeń).

KONTAKTY

polowanie

Kasjerka Ziuta błyskawicznie wyjęła ręce z szuflady i z piskiem odskoczyła od biurka, a potem jęła trzepotać dłońmi, przeskakiwać z nogi na nogę i wrzeszczeć: — Ludzie, ratunku!

Panna Zosia przeornie wlała na biurko, starszy referent Zupajło przerwał gryzienie kanapki, natomiast inspektor Gulguczyński pośpieszył na pomoc koleżance: wzięła dwie długie linijki i zaczął nim wyciągać z szuflady kasjerki blozki pokwitowań, rachunków i jakieś pojedyncze kwity.

Tak, nie było wątpliwości: siedziało to w kacie szuflady ze zjezoną sierścią i typało na inspektora przekrwionymi ślepiami.

— Weź pan za ogon — poradził beznamytnie Zupajło — i wyrzuć za okno. — Widocznie referent uznał, że zrobił w tej sprawie, co mógł, bo spokojnie wrócił do kanapki.

— Ja, kolego, nawet nie wiem — powiedział rzeczowo Gulguczyński — czy ta bestia ma ogon, bo stąd nie widać, a poza tym ona może być groźna, dlatego nie zaryzykuję wypłoszenia jej z szuflady. Zlokalizowane niebezpieczeństwo jest mniej niebezpieczne.

— Już wiem! — krzyknęła entuzjastycznie z biurka panna Zosia. — Trzeba to otruć!

— Oj, tak! — ucieszyła się Ziuta. — Tylko nie w mojej szufladzie.

— Pani jest niepoprawna. A kóż ją przenieść gdzie indziej? Może

przecież być wściekła albo czymś gorszym zakażona. Ja bym nawet przez papier nie zaryzykował. Panie Zupajło, niech pan podzwoni. Przy pańskich znajomościach przecież się jakąś truciznę znajdzie.

Referent rozłożył bezzadnie ramiona: — Znajomości mam pewne, ale te trucizny teraz diabła warte. I nie wiadomo, co to ściervo w szufladzie jada... — Zupajło w zamyśleniu szczyptał kanapkę.

— No, tak — powiedział ze zrozumieniem Gulguczyński — nakarmienie stworzenia trucizną może okazać się niemożliwe. Ale przecież coś z nim trzeba zrobić, bo pani Ziuta powinna przystąpić do pracy, a z tym w szufladzie...

— Ja w ogóle przy biurku nie usiądę, jeśli to tam będzie! — zadygotała z obrzydzenia kasjerka.

Referent zdecydowanie włożył do ust ostatni kęs chleba i ogłosił: — Już wiem! Poczekajcie chwilę, mieszkam niedaleko — po czym wybiegł z pokoju. Po dziesięciu minutach był już z powrotem. Wszyscy otoczyli go przy biurku i obserwowali w napięciu. A on, wysunąwszy język na brodę, z przejęciem dopasowywał, montował i ustawiał.

— No, nareszcie ją mamy — wyszło z piersi obecnych westchnienie ulgi, kiedy już w szufladzie zaczęła zataczać niewielki krąg kolejka elektryczna Zupajły — juniora. — Teraz nam ta ehołerna mysz nie ujdzie!

(S.H.)



Rysunek Andrzeja Połulki

Lekarz próbuje umiejscowić schorzenie pacjentki, skarżącej się ogólnie na bóle.

— Co panią boli, pani Pietraszewska?

— Wszystko, panie doktorze: i brzuch, i piersi, i nogi, i miednica...

— A gdzie najpierw zaczęło panią boleć?

— Oj, chyba pierwszy raz mnie zabolalo w Kolnie przy PKS-ie.

— Doktorze, ale z pana filut! Jak mówię, że jestem kopnięty, to jestem. Sam wiem najlepiej.

— Proszę mówić jaśniej: kiedy, przez kogo i ile razy?

— Jasnowidztwo to przewidywanie przyszłości — powiedział swoim gościom jasnowidz i zginął pod żyrandolem.

— Szczęśliwy — oświadczyli słuchacze — zachował swoją wiarę do końca.

— Ostrzegam cię — powiedział do wędkarza złapany w Narwi leszcz — że mam w sobie 20 procent siarki i 15 procent fenolu!

Król wzywa nadwornego błazna i rozkazuje: — Skarbiec jest pusty, szlachta zdemoralizowana, lud się buntuje, królowa mnie zdradza, nie mam następcy, rozmiesz mnie!

— Doktorze, niech pan mi przepisz te same leki, co ostatnio, a ponadto krople na żółdek, pigułki od wtroby i nitroglicerynę...

— Jeszcze raz oświadczam, że jest pan zdrow i cierpi tylko na hipochondrię.

— Jeśli to tylko hipochondria, to dlaczego ciągle tak źle się czuję?

— Czy wiesz, że Jasia przejechał samochód?

— To było do przewidzenia. Ostatnio tak źle wyglądał...

Franz Fiszer glosił kiedyś w kawiarni „Ziemiańskiej”: — Nie będzie porządku w Polsce, jeśli nie rozstrzela się 750 tysięcy szubrawców!

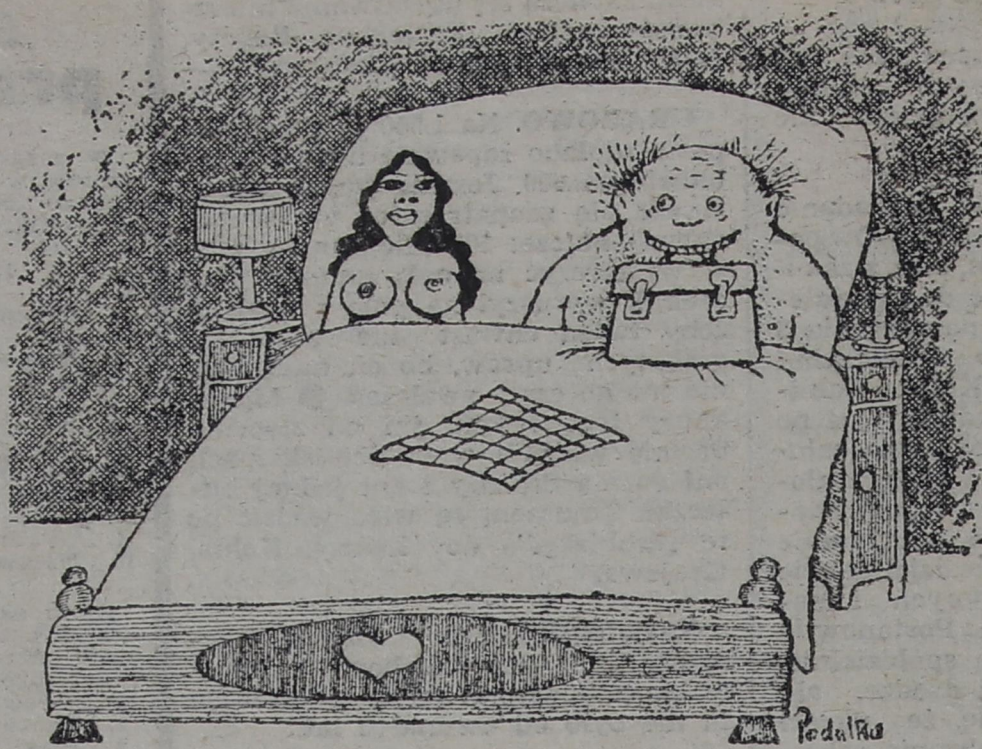
— Czy jest u nas aż tylu szubrawców?

— Jeśli nie ma — powiedział nie speszony aforysta — dobież się z uczciwych.

— Hej, Johnny, szeryf cię poszukuje, bo podobno wczoraj o północy zabiłeś w barze Baringa.

— Mam alibi: wczoraj o północy zastrzeliłem w kasynie Smitha.

— Coś taki smutny?
— Ciotka mi umarła.
— Na co?
— Na grype.
— E, to nic groźnego.



kącik pod jemiołą

Droga Pani Celino, musi Pani wykazać więcej cierpliwości. Nie ma go dopiero pięć lat, i to wcale nie kryzysowych w małżeństwie. Najtrudniejszy będzie siódmy; wtedy nie wiadomo, co się może porobić między wami! A teraz Pani ma pewność, że po prostu wyszedł i nie wrócił, przez co unknęliście oboje wielu wzajemnych, a niepotrzebnych, przymówek i nieporozumień. Jak wróci, przekona się Pani, że mieliśmy rację.

Szanowny Panie Inżynierze, ona jest młoda i musi się wyszumieć. Gdyby pan był od niej o 25 lat młodszymi, z pewnością nie darowałby Pan żadnej pici przeciwnej i pokazywał, co ma najładniejszego. A dziecko jest Waszą wspólną własnością. Ma Pan niepowtarzalną okazję wykazania się talentem pedagogicznym i ukształtowania osobowości maleństwa według własnych upodobań, opierając się na doświadczeniach włas-

nych, a błędach mamusi. Będzie Pan miał w przysłałości przeciw niej sojusznika, gdyby się przypadkiem nigdy nie ustatkowała.

ogłoszenia drobne

Zamienię dobre miejsce w kolejce po mięso na równie dobre lub lepsze (za drobną opłatą) w tekstylno-odzieżowym. Oferty tylko telefoniczne: 57-11.

Kupię kimono. Ostatnio źle spłacam. Spłacam w tabletkach nasennych. Kontakt: apteka leków zagranicznych.

Odstąpię dyplom magistra filologii romańskiej za papiery mistrzowskie w fachach: stolarz, ślusarz lub garncarz. Firlejskiego 99.

Kupię pół etatu w masarni, najchętniej degustatora lub organizatora degustacji. Proszę o sygnał w prasie pod hasłem: „do wzięcia”.

Sprzedam uproszczony projekt na blankiet donosowy — imienny lub anonimowy. Zamówienie na skrytkę pocztową 131.



— Nawet gwoźdźnia dobrze wbić nie umiesz!

Rysunek Zbigniewa Ziomeckiego